
KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XII

»JAMIOŁ«
ORGANISTA Z PONIKŁY
LISTY Z RZYMU,
WENECYI I PARYŻA
KOMEDIA Z POMYŁEK
SACHEM

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY,

1899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Мая 1899 г.

„JAMIOŁ“

Obrazek wiejski.

W miasteczku Łupiskórach, po pogrzebie Kalikstowej były nieszpory, a po nieszporych zostało jeszcze kilkanaście bab w kościele, by odśpiewać resztę pieśni. Była godzina czwarta po południu, ale że w zimie o czwartej mrok zapada, w kościele więc było ciemno. Szczególniej wielki ołtarz tonął już w głębokim cieniu. Dwie jeszcze tylko świece paliły się koło cyboryum, ale migotliwe płomyki ich zaledwie trochę rozświecały złocenia drzewiczek i nogi zawieszzonego wyżej na krzyżu Chrystusa, przebite ogromnym gwoździem. Główka tego gwoździa wyglądała jak wielki punkt błyszczący w ołtarzu. Z innych świec, dopiero co pogaszonych, snuły się pasemka dymu, napelniając miejsce za stallami czysto kościelnym zapachem wosku.

Dziad i mały chłopak kręcili się przed stopniami ołtarza. Jeden zamiatał, drugi ściągał ze stopni dywan. W chwilach, w których baby

przestawały śpiewać, słychać było gniewliwy szept dziada, wymyślającego na chłopaka, albo stukanie do zasutych śniegiem okien wróbli, którym było na dworze zimno i głodno.

Baby siedziały w ławkach, bliżej drzwi wchodowych. Byłoby tam jeszcze ciemniej, gdyby nie kilka łójówek, z pomocą których właścicielki książek ułatwiały sobie czytanie. Jedna z tych łójówek oświecała dosyć wyraźnie przytwierdzoną do następnej ławki chorągiew, wyobrażającą grzeszników wśród płomieni i wśród szatańców. Na innych chorągwiach nie można było rozpoznać malowideł.

Kobiety nie śpiewały, ale raczej mruczały sennymi i zmęczonymi głosami pieśń, w której ustawicznie powtarzały się słowa:

»A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Uproś nam, uproś u Twojego syna...

Ten kościół pogrążony w cieniu, chorągwie sterczące przy ławkach, stare, o pożółkłych twarzach, kobiety, — migotliwe, jakby pogięzione pomroką, światełka — wszystko to było nad wszelki wyraz posępne, a nawet poprostu straszne. Ponure słowa pieśni o skonaniu znajdowały w tem tło właściwe.

Czasem też przestawano śpiewać; jedna z bab stawała w ławce i poczyniała mówić drżącym głosem: «Zdrowaś Marya, łaskiś pełna» — a inne podchwytywały: «Pan z Tobą etc.», ale że to był dzień pogrzebu Kalikstowej, każde więc «Zdrowaś Marya» kończyło się słowami: «Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci».

Córka Kalikstowej, Marysia, siedziała w ławce obok jednej starej kobiety. Na grób świeży jej matki padał tam teraz właśnie śnieg miękkie i cichy, ale dziewczyna miała zaledwie dziesięć lat, więc zdawała się nie rozumieć ani swej straty, ani litości, jaką mogła obudzać. Twarzyczka, o dużych niebieskich oczach, miała w sobie dziecinny spokój, a nawet obojętną jakąś pogodę. Malowało się na niej trochę ciekawości i nic więcej. Otworzywszy usta, patrzyła z wielką uwagą na chorągiew, na której było malowane piekło z grzesznikami, potem patrzyła w głąb kościoła, a potem jeszcze na okno, w które stukwały wróble.

Oczy jej pozostały bezmyślne. Tymczasem baby poczynwały mruczeć sennie po raz dziesiąty:

«A kiedy przyjdzie skonania godzina...»

Dziewczyna kręciła kosmyki swoich jasnych włosów, zaplecione z tyłu w dwa warkoczyki, nie większe od mysich ogonów: widocznie się jej nudziło. Następnie jednak uwagę jej zajął dziad.

Dziad wyszedł na środek kościoła i jął pociągać za węzłowaty sznur, zwieszający się z sufitu. Dzwonił za duszę Kalikstowej, ale czynił to zupełnie mechanicznie, gdyż widocznie myślał przytem o czem innem.

Dzwonienie owo było także znakiem, że nieszpory skończone. Baby, powtórzywszy ostatni raz prośbę o lekkie skonanie, wyszły na rynek. Jedna z nich prowadziła za rękę Marysię.

— Kulikowa! — spytała druga: — a co będziesz robić z dziewczyną?

— A co mam robić? Jedzie do Leszczyniec Wojtek Marguła, co go przysłali na pocztę, to ją odwiezie. A bo co?

— A coże ona będzie robić w Leszczyńcach?

— Moiście wy! To, co i tu. Skąd jest, niech tam jedzie. A choć i we dworze, to sierotę przygarną i w kredensie się pozwolą przespać.

Tak rozmawiając, szły przez rynek do szynku. Mroczyło się coraz bardziej. Czas był zimowy,

cichy, niebo zawleczone chmurami, a powietrze przesiąknięte wilgocią i mokrym śniegiem. Z dachów kapala woda, na rynku zaś leżało błoto, urobione ze śniegu i słomy. Miasteczko, o domach nędznych i poodrapywanych, wyglądało tak posepnie, jak i kościół. Niektóre okna polyskiwały światłem; ruch już ustawał, w szynku tylko grała oberka katarynka.

Grała na wabia, bo w środku nie było nikogo. Baby weszły, napiły się wódki, przyczem Kulikowa dała i Maryśce pół kieliszka, mówiąc:

— Napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci.

Słowo: «sierota», przywiodło babom na myśl śmierć Kalikstowej. Kapuścińska mówiła:

— Do was Kulikowa! napijta się. O moi drodzy! jak ją ten paralus trzasnął, tak ci ani zipnęła. Nim dobrodziej przyszedł spowiadać, już była zimna.

Kulikowa na to:

— Mówiłam ja zdawna, że ona cienko przeędzie. Zeszłej niedzieli przyszła, a ja powiadam: «Ej, Kalikstowo, Kalikstowo! oddajcie lepiej Maryskę do dwora». A ona powiada: «Jedną córuchnę mam i nie dam». Ale markotno jej było i zaczęła słuchać, a potem do kancelaryi poszła,

do wójta, żeby papiery mieć co do «kolomnii» na porządek. Zapłaciła cztery złote i groszy sześć. Ale powiada: «Dla dziecka nie żałuję». Moiście wy! A oczy to miała wytrzyścone i po śmierci jeszcze lepiej wytrzyścała. Co jej chcieli zamknąć, to nie mogli. Mówili, że i po śmierci na dziecko patrzyła.

— Napijwa się na ten żal półkwaterek!

Katarynka wciąż grała oberka. Baby poczęły się trochę rozmarzać. Kulikowa powtarzała żalonym głosem: «Chudziatko! chudziatko!» — a Kapuścińskiej przyszła z kolei na myśl śmierć nieboszczyka jej męża.

— Jak umirol, — mówiła — to ci tak wzdychoł, tak wzdychoł, tak wzdychoł — i rozciągając coraz bardziej głos, weszła mimowoli w śpiew, ze śpiewu w takt katarynki, a w końcu porwała się za boki i zupełnie już na nutę oberka poczęła śpiewać:

»Wzdychol, wzdychoł, wzdychoł,
Oj ta dana — wzdychoł!«

Nagle rozplakała się rzewnie, dała kataryniarzowi sześć groszy i napiła się jeszcze wódki. Kulikową również porwało rozczenie, ale skierowała je ku Marysi.

— Pamiętaj, sierotko, — rzekła — co ci mó-

wił dobrodziej, kiej ci mateńkę śniegiem przysypywali, że jamiół (anioł) je nad tobą.

Tu zatrzymała się nagle, spojrzała naokoło jakby zdziwiona, a potem dodała z nadzwyczajną energią:

— Kiej mówię, że jamiół, to jamiół!...

Nikt nie przeczył. Marysia, mrugając swojemi biednemi głupiemi oczkami, wpatrywała się uważnie w babinę. Kulikowa mówiła dalej:

— Tyś je sierotka, to złemu od ciebie zasie! Nad sierotami je jamiół. On je dobry. Na, masz dziesięć groszy. Choćbyś i piechotą do Leszczyńiec poszła, to trafisz, bo on cię zaprowadzi.

Kapuścińska zaczęła śpiewać:

»W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod Jego pióry uleżysz bezpiecznie«.

— Cichoście! — zawołała Kulikowa.

A potem znów do dziewczyny:

— Ty głupia, wiesz kto je nad tobą?

— Jamiół — odrzekło cienkim głosem dziecko.

— Sieroteńko-że ty, jagodko ty, robaczku ty Boży! Jamiół ze skrzydłami — mówiła w zupełnem już rozczuleniu Kulikowa i, porwawszy dziewczynkę, poczęła ją przyciskać do swej poczciwej, choć pijackiej piersi.

Dziewczyna rozplakała się teraz. Może w jej

ciemnej główce i w sercu, które nie umiało nic jeszcze rozeznaczyć, budziło się jakieś rozeznanie w tej chwili.

Szynkarz spał już w najlepsze za szynkwąsem, na knotach łojówek narosły grzyby, katarzyniarz przestał grać, bo go bawiło to, co widział.

Nastąpiła cisza, którą przerwało nagle chłupotanie końskich nóg w błocie przed drzwiami i jakiś głos, który zawołał na konie:

— Prrr!

Do szynku wszedł Wojtek Marguła z zapaloną latarką w rękę, postawił latarkę, począł «zabijać» ręce, by je rozgrzać, i wreszcie rzekł do szynkarza:

— Dajta-no półkwaterek!

— Marguła, kasztanie! — zawołała Kulikowa: — weźmiesz dziewczynę do Leszczyniec?

— Juści wezmę, bo mi i kozeli — odparł Marguła.

Potem, przypatrując się obydwom kobietom, dodał:

— Aleśta się porznęły, jak...

— Ażeby cię zara sparło! — odrzekła Kulikowa. — Kiedy ci mówię: ostrożnie z dzieckiem,

to ostrożnie. Ona je sierota. Ty wiesz, głąbie, kto nad nią je?

Wojtek nie uznał za stosowne odpowiadać na pytanie i postanowił widocznie podnieść inny przedmiot, podniósł bowiem przedewszystkiem półkwaterek i zaczął:

— Wciorności wam...

Ale nie skończył, bo wypił wódkę, skrzywił się, splunął i stawiając z niezadowoleniem miarkę, rzekł:

— Dyć to sama woda. Dajta-no drugiej z tej innej flaszki.

Szynkarz nalał mu z innej. Wojtek skrzywił się jeszcze mocniej.

— E! araku ta nie mata?

Margule groziło widocznie takie samo niebezpieczeństwo, jak i babom, ale że w tym samym właśnie czasie, we dworze w Łupiskórach, właściciel przygotowywał do jednego z pism obszerny i wyczerpujący artykuł: «O prawie propinacyi dla dworów, jako o podstawie ustroju społecznego», a zatem Wojtek przyczyniał się tylko niechcący do wzmocnienia fundamentów społecznych, a to tembardziej, iż propinacya, chociaż w miasteczku, była istotnie dworską.

Przyczyniwszy się tak z pięć razy z rzędu,

zapomniał wprawdzie latarki, w której świeczka zgasła, ale wziął nawpół śpiącą dziewczynę za rękę i rzekł:

— Chodźże, zmoro!

Kobiety posnęły również w kacie, nikt więc nie pożegnał Marysi. Prostu: matka jej została na cmentarzu w Łupiskórach, a ona jechała do Leszczyniec.

Wyszli, siedli, Marguła krzyknął na konie: «Wiśta!» — i pojechali. Sanie sunęły z początku dosyć ciężko po miasteczkowem błocie, ale potem zaraz wydobyli się na pola białe i rozległe. Jechać było lekko, śnieg nie szumiał prawie pod płozami; czasem tylko koń parsknął; czasem zdaleka, zdaleka doszło szczekanie psów.

Jechali, jechali. Wojtek poganiał konie i śpiewał pod nosem: «Pamiętos, psia jucho, coś mi obiecował?» Ale wkrótce umilkł i zaczął «żydy» wozić. Kiwnął się w prawo, w lewo. Śniło mu się, że go w Leszczyńcach tłuką po karku, za to, że zgubił kobiałkę z listami, więc od czasu do czasu budził się przez pół i powtarzał: «Wcior-naści!» — Marysia nie spała, bo jej było zimno. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na białe pola, które jej co chwila zasłaniały ciemne plecy Marguły. Myślała też przytem, że «matula

pomerli», a tak myśląc, wyobrażała sobie doskonale bladą i chudą twarz matuli o wytrzeszczonych oczach i odczuwała półświadomie, że ta twarz była kochana bardzo, że jej niema i nie będzie w Leszczyńcach już nigdy. Przecież widziała na własne oczy, jak ją zasypali w Łupiskórach. Przypomniawszy to sobie, byłaby się rozplakała z żalu, ale że zziębły jej nogi i kolana, więc rozplakała się z zimna.

Mrozu wprawdzie nie było, ale powietrze stało się przenikliwe, jak zwykle w odwilży. Wojtek bo miał przynajmniej w żołądku spory zapas poczerpniętego w łupiskórskim szynku ciepła. Właściciel Łupiskór słusznie przecie zauważył, «że wódka w zimie rozgrzewa, a ponieważ jest ona jedyną pociechą naszego ludu, odejmując przeto większym posiadaczom możliwość wyłącznego pocieszenia ludu, odejmuje się im i wpływ na lud». Wojtek w tej chwili tak był pocieszony, że go nie zasmucić nie mogło.

Nie zasmuciło go nawet i to, że konie, doszedłszy do lasu, naprzód zwolniły zupełnie kroku, choć droga była w lesie lepsza, a następnie ruszywszy w bok, przewróciły sanie w rów przydrożny. Rozbudził się wprawdzie, ale nie rozumiał dobrze co się stało.

Marysia poczęła go trącać:

— Wojtek!

— Czego skrzeczysz?

— Przewróciliśwa.

A Wojtek spytał: — «Śklonkę?» — i usnął na dobre.

Dziewczyna siadła przy saniach, skuliła się jak mogła i siedziała. Ale twarz zmarzła jej wkrótce zupełnie, więc poczęła trącać śpiącego:

— Wojtek!

Nie odpowiadał.

— Wojtek, chcę do chałupy.

A po chwili znowu:

— Wojtek, bo pójde piechtą...

Nakoniec poszła. Zdawało się jej, że do Leszczyńiec jest bardzo blisko. Zresztą знаła drogę, bo co niedziela chodziła nią z matką do kościoła. Ale teraz musiała iść sama. W lesie śnieg mimo odwilży leżał wysoki, ale za to noc była bardzo jasna. Blask od śniegu łączył się z blaskiem światła chmur, więc drogę było widać jak w dzień. Marysia, zapuszczając wzrok w ciemny las, mogła bardzo daleko dojrzeć pnie, rysujące się wyraźnie, czarno i spokojnie, na białym podkładzie. Widziała również dokładnie rzuty śniegowe, do pni przez całą długość przywarłe. Ja-

kiś ogromny spokój był w lesie, który dziecku dodawał otuchy. Na gałęziach leżała złódź obfita, a z niej spływały krople wody, rozbijając się ze słabym szmerem o gałęzie i gałązki. Ale to był jedyny szmer. Zresztą naokół cicho, cicho, białe, milczące, głucho...

Wiatr nie wiał. Uśnięzione kiści nie poruszały się najmniejszym ruchem. Spało wszystko zimowym snem. Mogło się zdawać, że śniegowy obrus na ziemi, i cały las milczący a przytrząśnięty, i blade chmury na niebie, to wszystko jakaś biała jedność — martwa. Tak bywa w czasie odwilży. Jedyłą żywą istotą, poruszającą się, jak mały czarny punkcik wśród tych milczących wielkości, była Marysia. Dobry, pocziwy las! Te krople, które opuszcza topniejąca złódź, to może łzy nad sierotą. Drzewa takie wielkie, a takie litośne nad małością!... Oto samo jedno, takie słabe, biedne, wśród śniegu, nocy i lasu, brnie sobie z ufnością, jakby nigdy nic! Noc jasna zdaje się troskać o nią. Jest w tem jakaś wielka słodycz, gdy coś, co jest małym i bezsilnym, oddaje się i powierza tak zupełnie ogromnej sile. W ten sposób wszystko może istnieć na woli Bożej. Dziewczyna szła już dość długo i zmęczyła się wreszcie. Przeszkadzały jej cięż-

kie, za wielkie buty, w których jej małe nóżki zsuwały się ustawicznie. Ciężko było wyciągnąć takie ogromne buciska ze śniegu. Przytem i rękom nie mogła swobodnie poruszać, bo w jednej, wyciągniętej sztywnie, trzymała z całej siły ową dziesiątkę, którą dostała od Kulikowej. Bała się jej upuścić w śnieg. Zaczynała chwilami płakać głośno, a potem urywała nagle, jakby się chcąc przekonać, czy kto płaczu nie słyszy. Owszem, las słyszał. Topniejąca złódź szemrała jednostajnie, a jakoś żałośnie. Prócz tego, może jeszcze ktoś słyszał... Dziecko idzie coraz wolniej. Czyżby miała zbłądzić? Gdzie tam! droga jakby biała, szeroka, zwężająca się w dali wstęgą, leży wyraźnie między dwiema ścianami ciemniejszych drzew. Dziewczynę poczał ogarniać sen niepokonany.

Zeszła i siadła pod drzewem. Powieki opadały jej na oczy. Przez chwilę myślała, że po białości śniegowej matula idzie ku niej od strony cmentarza. Nikt nie szedł. Dziecko było jednak pewne, że ktoś przyjść musi. Kto? — Anioł. Przecie stara Kulikowa mówiła, że «jamiol» jest nad nią. — Marysia знаła go. W chałupie u matuli był jeden malowany z «leliją» w ręce i ze skrzydłami. Przyjdzie niezawodnie. Złódź jakoś

zaczyna szemrać mocniej. To może jego skrzydła strącają więcej kropel... — Cicho! istotnie ktoś idzie; śnieg, choć miękki, szeleści wyraźnie, kroki zbliżają się i zbliżają, ciche, ale szybkie. Dziecko podnosi z ufnością senne powieki...

Co to?!

Szara jakaś trójkątna głowa, o sterczących uszach, przypatruje się dziecku pilnie... straszna, ohydna...

ORGANISTA Z PONIKŁY

Śnieg był suchy, skrzypiący i niezbyt głęboki, a Kleń miał długie nogi, szedł więc rażno drogą z Zagrabia do Ponikły. Szedł tem rażniej, że zbierało się na mróz dobry, on zaś ubrany był kuso: w krótki surdut, jeszcze krótszy na wierzchu kożuszek. w czarne kortowe spodeńki i w cienkie łatanne buty. Prócz tego, w rękę miał obój, na głowie podszyty wiatrem kapelusz, w żołądku parę kieliszków araku, w sercu radość, a w duszy walne do tej radości powody. Oto dziś rano podpisał z kanonikiem Krajewskim kontrakt, jako przyszedł organista Ponikły. On, który dotąd włóczył się, bywało, jak jaki Cygańczuk, z karczmy do karczmy, z wesela na wesele, z jarmarku na jarmark, z odpustu na odpust, szukając zarobku na oboju albo na organach, na których zresztą grał lepiej od wszystkich okolicznych organistów, miał się teraz nareszcie ustalić, osiąść w Ponikle i zacząć

stateczne życie pod własnym dachem. Dom, ogród, sto pięćdziesiąt rubli rocznie, inne przy okazji zarobki, powaga osoby, jakby nawpół duchownej, zajęcie na chwałę Bożą — któż tego nie uszanuje? Niedawno jeszcze pierwszy lepszy Maciek w Zagrabi lub w Ponikle, byle siedział na kilku morgach, miał pana Klenia za hetkę pętelkę — teraz będą mu ludzie czapkowali. Organista — i jeszcze w takiej ogromnej parafii — toż nie wiechetek słomy! Dawno już Kleń wzdychał do tej posady, ale póki stary Mielnicki żył, nie było o czem myśleć. Palce staremu sztywniały, i lichy grał, ale kanonik nie byłby go za nic odprawił, bo przeżyli z sobą dwadzieścia lat.

Lecz gdy starego uderzyła «Łysa» kanonika tak szkodliwie w dołek, że w trzy dni zmarł, nie wahał się pan Kleń prosić księdza o posadę, a kanonik nie wahał się mu jej dać, bo lepszego organisty nie mógłby ni w mieście znaleźć. Skąd się w Kleniu wzięła taka «sprytność» do oboju, do organów i do różnych innych instrumentów, na których się rozumiał, trudno było wiedzieć. Nie wziął tego po ojcu, bo ojciec, który pochodził z Zagrabia, służywał za młodu w wojsku, ale nie w muzyce, na starość sznury

z konopi kręcił i grywał tylko na fajce, która mu wiecznie w wąsach tkwiła.

A młody od dziecka nasłuchiwał tylko, gdzie grają. Wyrostkiem jeszcze chodził «kalikować» Mielnickiemu do Ponikły, który, widząc w nim taką ochotę, pokazywał mu na organach. I po trzech latach Kleń lepiej grywał od Mielnickiego. Potem, gdy raz przyszli do Zagrabia jacyś muzykanci, uciekł z nimi. Włóczył się z tą kompanią całe lata, Bóg wie gdzie; grywał pewno, gdzie popadło: na jarmarkach, weselach i po kościołach; dopiero, gdy towarzysze rozproszyli się albo pomarli, wrócił do Zagrabia, ubogi, jak mysz kościelna, wychudły — i żyjąc, jak ptak na gałęzi, grywał dalej, czasem ludziom, czasem Panu Bogu.

I choć ludzie zarzucali mu «niestatek», stał się sławny. Mawiano o nim w Zagrabiu i w Ponikle: «Kleń, jak to Kleń! Ale jak weźmie grać, to i Panu Bogu nie markotno i człowieka aż zamgli!» Inni zaś pytali: «Bój się Boga, panie Kleń, jakie to lichy w panu siedzi?» I rzeczywiście siedziało jakieś lichy w tym chudzielcu o długich nogach. Za życia jeszcze Mielnickiego, zastępując go w dni wielkich świąt i odpustów, czasem zapamiętywał się całkiem przy

organach. Zdarzało się to zwłaszcza w połowie sumy, gdy ludzie rozmodlili się już w kościele, gdy kadzidła rozeszły się na całą nawę, gdy rozśpiewało się wszystko, co żyło, gdy sam Kleń się rozegrał, a nabożeństwo, wraz z biciem dzwonów, dzwonków, wraz z zapachem mirry, bursztynu i wonnych ziół, z migotaniem świec i blaskiem monstrancyi, tak wezbrało w duszach ludzkich, że cały kościół zdawał się ulatywać na skrzydłach w górę. Kanonik, to zniżając, to wznosząc wówczas monstrancję, przymykał z uniesienia oczy, a pan Kleń czynił to samo na chórze, i zdawało mu się, że organy same grają, że głosy ołowianych rur podnoszą się jak fale, płyną jak rzeki, leją się jak upusty, sączą się jak źródła, kapią jak krople dżdżu, że wypełniają cały kościół, są pod sklepieniem, i przed ołtarzem, i w kłębach kadzideł, i w świetle słonecznem, i w duszach ludzkich — jedne groźne i wspaniałe, jak grzmoty; drugie, jakby ludzkie śpiewanie, żywemi słowami mówiące; trzecie słodkie, drobne, rozsypane nakształt paciorków lub kłaskań słowiczych. I po mszy schodził pan Kleń z chóru odurzony, z błyszczącemi, jak ze snu oczyma — jako zaś człowiek prosty, mówił i myślał, że

się zmęczył. Kanonik w zakrystyi kładł mu coś grosiwa do ręki, coś pochwał do uszu, on zaś szedł między lud, który się ćmił przed kościołem — i tam już czapkowano mu, choć mieszkał na komornem w Zagrabi, i podziwiano go bez miary.

Ale pan Kleń chodził przed kościół nie dlatego, żeby usłyszeć: «Hej, patrzcie, Kleń idzie!» — ale dlatego, by obaczyć to, co mu było najmil-sze w Zagrabi, w Ponikle i w świecie całym, to jest pannę Olkę, córkę strycharza z Zagrabia. Wpila mu się ona jak kleszcz w serce, i swemi oczyma, jak chabry, i swoją jasną twarzą, i swemi ustami, jak wiśnie. Sam pan Kleń, w rzadkich chwilach, w których patrzył roz-tropnie na świat, i w których widząc, że stry-charz mu jej nie da, myślał, że lepiej jej zanie-chać, poczuwał ze strachem, że tego uczynić nie zdoła — i z wielkim frasunkiem powtarzał sobie: «Ej, to zalazła! cęgami nie wyrwiesz». Dla niej też zapewne zaprzestał włóczegi, dla niej żył, a gdy grywał na organach, to myślał, że ona go słucha, i grywał tem lepiej.

Ona zaś, pokochawszy naprzód jego «spryt-ność» do muzyki, pokochała go następnie dla niego samego — i był jej ten pan Kleń najmil-

szy ze wszystkich, choć miał twarz dziwną, czarniawą, oczy jak nieprzytomne, kusy surdut, krótszy jeszcze kożuszek i nogi tak długie a cienkie, jak bocian.

Ale «tatko» strycharz, choć także najczęściej w kieszeniach wiatr nosił, nie chciał dać Olki Kleniowi. «Za dziewczyną — mówił sobie — każdy się ogląda; po co jej ma taki Kleń los wiązać?» I ledwie wpuszczał go do domu, a czasem wcale nie wpuszczał. Lecz gdy stary Mielnicki umarł, zmieniło się wszystko odrazu. Kleń, po podpisaniu kontraktu z kanonikiem, poszedł w te pędy do strycharza, ów zaś powiedział mu tak: «Nie mówię, że koniecznie ma zaraz co być, ale co organista, to nie powsinoga!» I zaprosiwszy go do izby, uczęstował arakiem i uczcił jak gościa. Gdy zaś Olka nadeszła, radował się razem z młodymi, że Kleń został panem, że będzie miał dom, ogród i że po kanoniku będzie największą osobą w Ponikle.

Przesiedział tedy Kleń u nich od południa aż do wieczora z wielką i swoją, i Olki uciechą, i teraz oto, wracał drogą do Ponikły, po śniegu skrzypiącym, pod zorzę wieczorną.

Zbierało się na mróz, ale on o to nie dbał, tylko szedł coraz raźniej, a idąc rozmyślał

o dniu dzisiejszym, o Olce, i było mu ciepło. Szczęśliwszego dnia w życiu poprostu nie miał. Po pustej, bezdrzewnej drodze, wśród łąk zmarzłych, pokrytych śniegiem, mieniącym się czerwono i niebiesko pod wieczór, niósł swoją radość, jakby jasną latarkę, którą miał sobie świecić w mroku. Pamiętał i rozpamiętywał wszystko, co się zdarzyło, więc i rozmowę z kanonikiem, i podpisanie kontraktu, każde słowo strycharza i panny Olki. Ona, gdy na chwilę zostali sami, powiedziała mu tak: «Mnie to na jedno! Jabym za panem Antonim i bez tego choć za morza poszła, ale dla tatka tak lepiej!» — On zaś pocałował ją z wielkiej wdzięczności i pomieszania w łokieć, rzekłszy przytem: «Bóg zapłać Olce, na wieki wieków, amen!» — I teraz, gdy sobie to przypominał, wstydził się trochę, że ją pocałował w łokieć i że jej tak mało powiedział, bo to czuł, że byle strycharz pozwolił, poszłaby naprawdę za nim na kraj świata. Taką pocziwości dziewczyna! — I teraz oto, wędrowałyby z nim, w razie czego, po tej pustej drodze, wśród śniegu. — «Złotoż ty moje szczerze! — pomyślał pan Kleń: — kiedy tak, to będziesz panią!» — I szedł jeszcze rażniej, aż śnieg skrzypiał donośniej. Lecz wkrótce poczał

znów myśleć: «Taka człowiekowi nie chybi». Opanowała go zatem wielka wdzięczność. Gdyby naprawdę Olka była teraz przy nim, jużby nie wytrzymał: rzuciłby swój obój na ziemię i przycisnął ją, co mocy w kościach, do piersi. Nieinaczej powinien był postąpić przed godziną — ale to zawsze tak: jak trzeba coś uczynić albo powiedzieć od serca — «to ot, człek głupiej i język ma z drewna». Łatwiejże grać na organach!

Tymczasem złota i czerwona wstęga, która do tej pory świeciła od zachodu na niebie, zmieniła się zwolna w złotą taśmę, w złoty sznur i wreszcie zgasła. Nastal zmrok, i gwiazdy zamigotały na niebie, tak ostro i sucho patrzące na ziemię, jak zwykle w zimie. Mróz brał tęgi i poczał szczypać w uszy przyszłego organistę z Ponikły, więc znając doskonale drogę, postanowił pan Kleń pójść na przełaj, łąkami, by prędzej znaleźć się w swoim domu.

I po chwili czernił się już na równej, śnieżnej przestrzeni — wysoki, śmiesznie sterczący do góry. Przyszło mu na myśl, by dla zabicia czasu zagrać sobie trochę, póki nie zgrabieją palce — więc i uczynił, jak pomyślał. Głos oboju

ozwał się w nocy i pustce dziwny, nikły, jakby trochę przestraszony tą białą, smutną płaszczyzną. A brzmiał on tem dziwniej, że Kleń grał same wesołe rzeczy. Bo sobie znów przypomniał, jak po jednym i drugim kieliszku u strycharza jął był grać i śpiewać, a rozochociona Olka wtórowała mu cienkim głosikiem. Te same pieśni chciał teraz wygrać, więc naprzód zaczął tę, od której ona zaczęła:

- »Wyrównaj, Boże, góry z dolami,
- »Niech będzie równiusieńko!
- »Przyprowadź, Boże, moje kochanie,
- »Przyprowadź raniusieńko!«

Strycharzowi jednak nie podobala się ta pieśń, bo mu się wydała «prosta» — i kazał im śpiewać dworskie. Wówczas wzięli się do innej, której Olka nauczyła się w Zagrabiu:

- »Pojechał pan Ludwik na polowanie,
- »Zostawił Helunię, jak malowanie.
- »Pan Ludwik powrócił, muzyka grała,
- »Trębacz trąbili, Helunia spała.«

Ta przypadła więcej strycharzowi do smaku. Lecz gdy ochota w nich wezbrała, najwięcej uśmieci się przy «Zielonym dzbanie». Panna, w tej pieśni, nim się zacznie w końcu śmiać,

z początku płacze i zawodzi po stłuczonym
dzbanku żałośnie:

»Mój zielony dzban,
»Stłukł ci mi go pan!«

A pan — dalej-że ją pocieszać:

»Cicho, panno, nie płacz-że,
»Ja ci za dzban zapłacę!«

Olka przeciągała, jak mogła najdłużej: «Mój
zielooony dzban!» — a potem w śmiech, Kleń zaś
odrywał usta od oboju i odpowiadał jej, jako
pan, z wielkim zamachem:

»Cicho, panno, nie płacz-że...«

I teraz, wspominając po nocy ową dzienną we-
sолоść, wygrywał sobie: «Mój zielony dzban» —
i uśmiechał się jeszcze teraz, o ile mu na to
pozwalały usta, zajęte dmuchaniem w obój. Ale
że mróz był duży i wargi przymarzały mu do
panewki instrumentu, a palce całkiem zgrabiały
od przebierania po klapkach, więc po chwili
przestał grać i szedł dalej, nieco zdyszany
i z twarzą we mgle, która powstawała z jego
oddechu.

Po niejakiem czasie zmęczył się, bo nie obli-

czył jednej rzeczy, mianowicie, że śnieg na łąkach leży głębszy, niż na przetartej drodze i że niełatwo wyciągać z niego takie długie nogi. Prócz tego, łąki w niektórych miejscach tworzyły wklęsłości, które dawne zamiecie wyrównały, ale przez które trzeba było brnąć po kolana. Kleń począł teraz żałować, że zszedł z drogi, bo tam mogła się zdarzyć jaka fura do Ponikły.

Gwiazdy migotały coraz ostrzej, mróz stawał się coraz cięższy, a pan Kleń aż się zapocił. Gdy jednak chwilami podnosił się wiatr i ciągnął łąką ku rzece, robiło mu się bardzo zimno. Próbował znów grać, ale mając usta zatkane, męczył się jeszcze więcej.

Poczęło go wreszcie ogarniać uczucie samotności. Wokoło było tak pusto, cicho i głucho, że aż dziwnie. W Ponikle czekał go ciepły dom, ale on wolał myśleć o Zagrabi i mówił sobie: «Olka idzie spać, ale tam, chwała Bogu, w izbie ciepło!» I na tę myśl, że tam Olce tak ciepło i jasno, radowało się zacne serce pana Klenia tembardziej, im bardziej samemu było mu zimno i ciemno.

Łąki skończyły się wreszcie, a zaczęły się pastwiska, porosłe tu i owdzie jałowcem. Pan

Kleń był już tak zmęczony, że brała go wielka ochota sięść ze swoim obojem pod pierwszym lepszym zacisznym krzakiem i odpocząć. Ale pomyślał: «Zmarznę!» — i szedł dalej. Na nie-szczęście, w jałowcach, tak jak pod płotami, tworzą się czasem zaspy. Kleń, przeszedłszy ich kilka, wyczerpał się tak, iż w końcu powiedział sobie:

— Siadę. Byłem nie usnął, to i nie zmarznę, a żeby nie usnąć, to sobie jeszcze zagram: «Mój zielony dzban».

I siadłszy począł znów grać — i znów nikły głos oboju ozwał się wśród ciszy nocnej na śniegach. Lecz Kleniowi powieki kleiły się coraz bardziej, i nuta «Zielonego dzbana», słabiejąc i cichnąc stopniowo, ucichła wreszcie całkiem. Bronił się jednak jeszcze od snu, był jeszcze przytomny, myślał jeszcze o Olce, tylko jednocześnie czuł się w coraz większem pustkowiu, coraz więcej samotny, jakby zapomniany, i jęło ogarniać go zdziwienie, że jej przy nim niema w tej głuszy i w tej nocy.

I począł mruczeć:

— Olka, gdzie ty?

A potem raz jeszcze ozwał się, jakby na nią wołał:

— Olka!...

I obój wysunął mu się ze zgrabiałych rąk.

A nazajurtz brzask oświecił jego siedzącą postać z obojem przy długich nogach i jego zsiniałą twarz, jakby zdziwioną i zarazem jakby zasluchaną w ostatnią nutę piosnki: «Mój zielony dzban...»



LISTY z RZYMU, WENECYI i PARYŻA

LIST z RZYMU.

W Rzymie, właściwie mówiąc, są trzy miasta: nowożytnie, dawne papieskie i starożytne. Topograficznie nie są od siebie oddalone. Częstokroć domy, wybudowane dziś lub wczoraj, stoją na fundamentach starorzymskich; między zwykłemi kamienicami wznosi się tu i owdzie wieża romańska, czoła kościołów wsparte są na starożytnych kolumnach; słowem, życie wieków średnich wyrastało jak pleśń na zwaliskach świata pogańskiego; potem samo z kolei zapadło w gruzy, z których lepił sobie gniazdo człowiek nowożytny. Rzym jest to więc mieszanina bezładna trzech światów i wskutek tego najosobliwsze miasto na świecie. Ulic jego nie dotknęły prawie jeszcze linia i cyrkiel; domy piętrzą się jedne nad drugimi, obniżają się, wznoszą, występują jako grupy; uliczki gną się

LIST z RZYMU.

W Rzymie, właściwie mówiąc, są trzy miasta: nowożytnie, dawne papieskie i starożytne. Topograficznie nie są od siebie oddalone. Często domy, wybudowane dziś lub wczoraj, stoją na fundamentach starorzymskich; między zwykłemi kamienicami wznosi się tu i owdzie wieża romańska, czoła kościołów wsparte są na starożytnych kolumnach; słowem, życie wieków średnich wyrastało jak pleśń na zwaliskach świata pogańskiego; potem samo z kolei zapadło w gruzy, z których lepił sobie gniazdo człowiek nowożytny. Rzym jest to więc mieszanina bezładna trzech światów i wskutek tego najobsobliwsze miasto na świecie. Ulic jego nie dotknęły prawie jeszcze linia i cyrkiel; domy piętrzą się jedne nad drugimi, obniżają się, wznoszą, występują jako grupy; uliczki gną się

w nieznane gdzieindziej krzywizny, między domami widać tarasy, blanki forteczne, wieże, pałace, kościoły, zwaliska, olbrzymie skarpy rzymskich fundamentów, fontanny, krzyże, obeliski, znowu wąskie naksztalt korytarzy uliczki, a na ich rogach Madonny, oświetlone nocą blaskiem lamp.

Starożytnego Rzymu widzi się na każdym kroku ślady, ale przeważnie ślady tylko. Wogóle zapadł on w ziemię, wieki pochowały go jak umarłego człowieka i pokryły grubemi warstwami gruntu, a na tym olbrzymim grobie zazieleniało nowe życie. Ale ciekawość dzisiejsza lubi odgrzebywać stare mogiły: w ten sposób odgrzebano Forum Romanum.

Począwszy od Kapitolu aż do Koloseum, ciągnie się Rzym starożytny, nie pomieszany z nowym. Część ta stanowi odrębną dzielnicę, leżącą na skraju dzisiejszego miasta. Widok na nią odkrywa się prawie niespodzianie, i trudno nawet zdać sobie sprawę z wrażenia, jakiego doświadcza podróżnik, gdy, wynurzywszy się z wązkich uliczek obok Kapitolu, spostrzega odrazu to miasto zwalisk. Forum jest to dziś ogromny prostokąt, zapadły na ośm metrów w ziemię, ograniczony w swej długości z jednej strony

Kapitołem, z drugiej Koloseum. Po prawej stronie leży skała Tarpejska i gruzy pałaców cezarykańskich, po lewej więzienie Mamertyńskie, świątynia Antonina i Faustyny, a na koniec olbrzymie zrujnowane mury świątyni Konstantyna. Tu było ognisko i serce dawnego Rzymu, a obecnie kraniec dzisiejszego. Przez otwory w łukach i sklepieniach, przez puste okna odwiecznych zwalisk widzi się ogrody, niezabudowane pólka, a w dalekości znów zwaliska i stosy gruzów, przysłonione błękitem oddalenia, za którymi ciągnie się smutna, rozległa równina Kampanii rzymskiej.

Ruchu miejskiego prawie tu niema; nie słychać turkotu wozów i dorożek. Kolumny, to stojące samotnie, to jeszcze połączone, sterczą ku górze, z powagą i martwością pustki; wytworne linie przecinają na wszystkie strony ciemny błękit nieba i wykreślają się na nim z nieporównaną czystością i spokojem; olbrzymie sklepienia, jakby nie rękami ludzkimi wznoszone, zwieszające się masą, nie podpieraną od wieków, zdaje się, że runą za chwilę pod własnym ciężarem; nad wszystkim unosi się jakiś nieopisany majestat wielkich wspomnień, ciszy i śmierci. Wokoło żyje tylko natura; na zrę-

bach murów cezaryjskich pałaców czernieją sosny rzymskie, gdzieniegdzie palma rysuje się na wysokości naksztalt wysmukłej kolumny, zakończonej kapitelem liści; długie trawy, powoje i mchy czepiają się wszystkich szczytów, rozpadlin, szpar i załamań; nad zwaliskami krąży w powietrzu ptactwo i słońce zlewa potoki światła, ale wszystko, co tylko wyszło z pod ręki ludzkiej, ciche jest, zrujnowane i martwe. Jest to poprostu miasto umarłe. Częstość, zwłaszcza w miesiącach letnich i na początku jesieni, gdy cudzoziemcy jeszcze się nie pozjeżdżają, żadna żywa dusza ludzka nie zakłóca tu ciszy. Gdym w godzinach popołudniowych zabłąkał się między te kolumny, zdala zaledwie dochodził szum miasta, niewyraźny, zmacony, podobny do mruczenia dalekich wód; zresztą słyszałem tylko świergot ptactwa w gzymsach i sykanie świerszczów, ukrytych w szparach kamiennych. Na myśl nasunął mi się mimowoli wiersz Słowackiego:

»Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nagrobkiem pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. Strasznym jest rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem, jest i pieśnią ciszy.»

Jakoż przy towarzyszeniu tej pieśni, zeszedłem do owego grobowca, który zarazem wydał mi się jakby ostatnią, zaklętą w kamień i marmur księgą wielkiego epos. Dziwne myśli przychodzą do głowy podróżnikowi, gdy się raz tu znajdzie i stanie, jakby oko w oko, z przeszłością. Wszystkie wspomnienia, wszystko, co wie o dziejach Rzymu, co o nich czytał, a co, mimo całej zdolności do odtwarzania wyobraźnią, wydawało mu się mimowoli czemś oderwanem, poprostu jakąś teorią historyczną, tu przybiera kształty dotykalne i występuje jako istotna rzeczywistość. Można na to patrzeć i dotykać ręką. Nie jest to zmiana wątpliwości na pewność,— bo któż zwątpił?—ale ostateczne sprawdzenie słów faktami. I jest w tem jakaś dziwna rozkosz, gdy się pomyśli: «Ja tu jestem, ja to widzę!» — rozkosz, mająca swe źródło w większej wyrazistości, z jaką przemawiają fakta, i w ciekawości, jaką budzi świat umarły już, a tak od naszego odmienny.

Tymczasem oko ześlizguje się po otaczających przedmiotach, jakby przelekle ich wielością i ruiną. Wszystko to zniszczone. Żelazna ręka Roberta Guiscard'a zburzyła do reszty to, co przetrwało napady Gotów i Wandalów, i ca-

le Forum wygląda jak wielki zrujnowany cmentarz, na którym bezład grobowców dopełnia dzieła śmierci. Kolumny, jedne połamane w górnej części, inne u podstaw, oznaczają jeszcze granice świątyń, ale trzony wielu z tych kolumn leżą już bezładnie na ziemi w różnych kierunkach; gdzieniegdzie sterczą tylko cokóły, gdzieniegdzie noga depcze korynckie lub jońskie nagłowniki, nawpół zagłębione w ziemi i porastające mchem w ozdobięciach. Trawa wydobywa się ze szpar pomiędzy kamiennymi płytami, któremi całe Forum było wyłożone. Mnóstwo podstaw posągów, ale bez posągów, to stoi, to pochyla się ku upadkowi, to leży już w dzikim nagromadzeniu. Oko odkrywa jeszcze na nich wpół czytelne napisy, w których wyraz *Divo* powtarza się co chwila. Boskim i ubóstwionym ludziom wznoszone były za cesarstwa te posągi, a teraz często marmurowe członki owych «boskich» leżą w kupach rupieci i w pyłe, zczerniałe, pokryte pleśnią, zapomniane. Cała przestrzeń zasłana jest szczątkami posągów. Tu widać nagi tułów kobiecy bez głowy, rąk i nóg, piękny jeszcze w swych kształtach miękkich i zaokrąglonych; dalej ręce męskie z mięskami jak węzły, potężne uda

bohaterskie, głowy bez nosów, nogi, torsy, to olbrzymie, to zwykłej wielkości, przewracane obok siebie, przy sobie: smętne okruczności, wśród których sykają «koniec rapsodu» świerszcze.

Chwilami zdaje się zwiedzającemu, że jest w jakiejś olbrzymiej pracowni rzeźbiarskiej. Mimowoli przychodzi na myśl, jak żywotną sztuką była rzeźba dla starożytnego świata, i niepodobna nie zgodzić się z Taine'm, że czas jej minął. W dawnych, rozkochanych w plastyce czasach, była ona zaspokojeniem istotnej potrzeby, którą odczuwał cały naród; dziś jest sztuczną rośliną, hodowaną gwoździem wykwintnemu smakowi. Pogański artysta tworzył, dzisiejszy tylko odtwarza wedle reguł; pogański czerpał ze swego otoczenia, ze współczesnych zamiłowań, z żyjących wyobrażeń i pojęć, bądź religijnych, bądź poetycznych: słowem, był szczerzy; dzisiejszy nie zwraca się do tego świata, nie czerpie z niego, ale musi szukać treści w dziejach przeszłych, umarłych i nie odczuwanych przez nikogo. Nowsze też czasy wytworzyły swoją własną poezję, malarstwo, muzykę i budownictwo — w rzeźbie nie wyszliśmy z koła bogów, faunów, nimf i bohaterów

greckich. A jednak, ta najmniej dziś żywotna ze sztuk pięknych była niegdyś najżywotniejszą. Po za mrówczem codziennem życiem dawnego klasycznego *miasta*, świątynia, a w niej szeregi posągów, były prawdziwą «arką przysmierza między dawnymi a nowymi laty», i słowo w słowo można powtórzyć z poetą, że w nie «lud składał broń swego rycerza, swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty», swoją religię, swoją ufność w potęgę i opiekę bogów. Służyły one jako ogniwo dotykalne, wiążące przeszłość z przyszłością, rzeczywistość z ideałem, człowieka z bóstwem. Więc też Forum było całym ludem posągów. Barbarzyńcy niszczyli je, kruszyła i pokrywała pleśnią wilgoć, czas zasypywał ziemią, grabiły późniejsze muzea, a jednak jeszcze dziś przestrzeń przy Via Sacra i na całym Forum prawie jest brukowana ich odłamkami.

W miarę jak «między kolumny, na niebie się kreślące», zbliżamy się do Kapitolu, nadlatują wspomnienia historyczne, a litery S. P. Q. R., ryte na przecznicach, napędzają do głowy szeregi obrazów. Tu *sub tutela inviolati templi*, wśród tego lasu kolumn i posągów, zbierały się komicye. Wyżej na górze zasiadał senat z try-

bunami w progu, których wnioski przejmowały gniewem i drżeniem *patres conscriptos*. Tu tacy Mirabeau'wie dawnych czasów, jak Canuleius, a później Licinius Stolo, wśród wrzawy, wśród zmarszczonych brwi i zaciśniętych ust arystokratów, powtarzali swoje brzemiennie w następstwie: *ut alterum ex plebe consulem fieri liceret*, a potem: *aedilem, censorem...* Tędy na Via Sacra przesuwwały się wozy tryumfatorów, za nimi w pętach królowie barbarzyńców, zadumani o puszczach rodzinnych, smętni, ogromni; naokół ich liktorowie z pękami różg i siekierami, dalej legiony, łupy, orły i radosny lud. W chwilach nieszczęść tu ginęli senatorowie z ręki Gallów Brennusa, potem Grakchowie z rąk Rzymian. Na Kapitolu bladł senat, a Sulla się śmiał, gdy jęki mordowanych dochodziły z pobliskich więzień Mamertyńskich. W tychże więzieniach, wśród ciszy nocnej, Cicero. świecił latarką w oczy trupom współników Katyliny i powtarzał, jakby dzisiejszy mieszczanin, drżący przed rewolucją, swoje pamiętne: *Jam non vivunt!* Z murów Kapitolu wreszcie powiewała posepnie skrwawiona toga Cezara, a w dole lud był o zemstę.

Wszystko to było, żyło, działało i przeszło.

Pokolenia kładły się do grobów, i tylko lud posągów mnożył się na Forum. Z Kapitolu został zrab muru, na którym Michał Anioł zbudował pałac w stylu Odrodzenia; na Forum z czasów Rzeczypospolitej nie pozostało prawie nic, tak, że już żelazny Guiscard burzył tylko pomniki Cesarstwa. Ale dziś i tych niewiele. Sam tylko łuk Septyma Sewera przetrwał. Wandale i Normandowie poogryzali go u podstaw, tak, jakby wilki poogryzały kość mamuta, ale skruszyć potężnych zworów nie mogli. Nagłówniki kolumn ostrzygły nożyce czasu, marmur żółkł, płaskorzeźby zatarły się i w części pokryły plamami, budowla zapadła się w ziemię na jakie dwa piętra, ale trwa potężnie. Zresztą, nie licząc dalej stojących łuków Tytusa i Konstantyna, jedyny to pomnik czysto rzymskiego budownictwa na Forum. Wszystkie inne — to dzieci Helady.

Zachowała się jeszcze kolumna Fokasa, ośm kolumn świątyni Jowisza, trzy Kastora i Poluksa i kilka mniejszych Saturna. Przeważnie szczyty ich są połączone jeszcze przecznicami naczelnemi, na których widać resztki napisów. Porządek koryncki przemaga we wszystkich, t. j. większość kolumn kończy się bujnym, wy-

sokim, rozkwitłym w liście i kwiaty nagłównikiem; jońskich, z pozawijanymi rogami, widziałem kilka tylko; często zdarzają się mieszane jońsko-korynckie; gładkich doryckich, zakończonych pierścieniem i prostym bez ozdób czworokątem, niema wcale. Gdym patrzył na te, które stoją na Forum, zwolna wspomnienia historyczne ustępowały przed wrażeniem piękna. Ład tego budownictwa działa poprostu kojąco. Podobnego wrażenia doświadczyłem na widok Wenus Milo w Luwrze i Apolina Belwederskiego na Watykanie. Podróżny nie wzdryga się w grecko-rzymskich świątyniach tak, jak w posępnych, ciemnych nawach gotyckich; umysłu jego nie ugniata rozszalała fantazya np. pagody indyjskiej; uwagi nie rozprasza zbytek ozdób nowszych barokowych budowli. Czar, zawarty w słowie *ład*, działa inaczej: polega on na zupełnej równowadze wszystkich władz duszy i wrażeń, na poczuciu pewnego spokoju wewnętrznego, w stosunku do doskonałości wymiarów, do jedności i wyśmienitej prostoty. Pogodne wrażenia rodzą pogodę w duszy; człowiek czuje, że mu jest dobrze. W budowlach klasycznych, jak i w starożytnych posągach, niema żadnej poszczegółnej myśli, jeśli się godzi tak

wyrazić, literackiej, któraby podporządkowała inne i starała się wyłącznie przemówić; jest tylko jedna ogólna myśl boskiego ładu, w stosunku do człowieka i natury.

Powtarzam: i natury, albowiem te kolumny, nagłówniki, przecznice zlewają się również w pełną ładu całość i z krajobrazem, i z niebem, i ze słońcem. Zielone podesłanie równiny podnosi ich lekkość i wysokość, błękitne tło nieba uwydatnia białość i jakby roztopia w słodki sposób linie zarysów; słońce wreszcie rozświeca je, ożywia, wydobywa wszystko, co wydobyć należy, cieniuje i dopełnia rzeźbienia. Tym jońskim lub koryneckim kolumnom potrzeba greckiego lub włoskiego błękitu, greckiego lub włoskiego słońca. Budowniczy rachował na pomoc tych czynników. Przeniesione w mgły północne i pod chmurne niebo, owe wdzięczne kwiaty skurczyłyby się, zmalaly, zwiędły.

Co widać także z klasycznych budowli, to niezmierną wiarę ludzi starożytnych w życie doczesne, w jego znaczenie i w jego szczęście. Rozumiemy Achillesa, gdy mówił nawpół ze smutkiem: «Słuchaj, boski Odyseju! wołałbym być parobkiem i żyć na ziemi, niż błąkać się

jak cień po polach Elizejskich.» Jakoż szczęścia, rozkoszy, celów, jakie człowiek sobie zakłada, szukano tu na ziemi. Stąd i ochota do wysiłen życiowych, do dopełnienia życia ładem poezyi, malarstwa, rzeźby, muzyki i budownictwa. Sztuki piękne są dla nas zapomnieniem życia i ucieczką od niego, dla nich były jego bukietem. Średniowieczny mnich, patrzący na ziemię, jak na padół nędzy, nie mógł wznosić świątyń podobnych. Kościół jego wyrwał się ku niebu strzelistemi wieżami, jak wyrwała się dusza... Średnie wieki straciły wiarę w życie doczesne... nowsze tracą je w przyszłe... Doprawdy, przychodzi ochota zapytać: dla czego i czem wreszcie żyć będziemy?

Ale to troska przyszłości. Inne jeszcze i mniej gorzkie myśli budzi widok klasycznych świątyń. Oto, odwróciwszy się od ponurego łuku Septyma Sewera, zwolna na tem Forum rzymskiem zapominasz, że jesteś w Rzymie, a zdaje ci się, że otacza cię Grecya. Toż te kolumny korynckie i jońskie, te nagłówniki, przecznice i posagi, — to kwiaty ducha greckiego, to rodzone jego dzieci, ideały. Tu, w zaborczym Rzymie, zabrana Grecya wystawiła sobie pomnik nieśmiertelny. Rzym rozumiał tylko i popierał wiel-

ką ideę państwową, poświęcił jej zupełnie jednostkę, wytworzył najsilniejszy rząd w świecie, podbił cały krąg ziemski, ogarniał go, opanował, wyzyskał, zaprowadził wszędzie państwo rzymskie. Grecya pozwoliła się rozwijać jednostce, nie umiała się zdobyć na wielką syntezę państwową, ale dziejami swemi wewnętrznymi uświęciła przepyszny rozwój indywidualny człowieka, i Rzym runął pod własnym ciężarem, a Grecya nie tylko odrodziła się w państwie Bizantyjskiem, ale w samym Rzymie przeżyła Rzym. Ateńczyku dzisiejszy! Ateńczyku «żwawy», «potęsknij, podumaj nad pomnikiem sławy:» Zwłaszcza: podumaj! Co za dziwne losy i koleje! Dumania o nich nie powinny być zbyt gorzkie.

Przez łuk Tytusa, obok zwalisk pałaców cesarskich, przechodzi się do Koloseum. Łuk ten — to najpiękniejszy zabytek czysto rzymskiego budownictwa; jakoż wyśmienite jego wymiary i pyszne rzeźby wyróżniają go od poblizkiego łuku Konstantyna, stojącego na drodze do łaźni Karakalli. Na wewnętrznej wklęsłej jego stronie płaskorzeźba wyobraża pochód tryumfalny Tytusowych legionów, obciążonych łupami zburzonej Jerozolimy. Między innymi przed-

miotami widać tam sławny świecznik ze świątyni Salomona. Żydzi tutejsi z Ghetto mijają zdaleka tę bramę strasznych dla nich wspomnień. Za łukiem jest się już w zakresie Koloseum. Tu panuje i przemawia wyłącznie Cesarstwo, a na myśl przesuwiają się przedewszystkiem, jakby kute z kamienia, słowa Tacyty: *Ruerunt in servitute patres, senatores, equites, plebs*. Ale na Cesarstwo można także patrzeć, jak na reakcyę ducha ludzkiego przeciw pochłaniającej wszystko idei państwa. Świat już był podbity, a obywatel, zepsuty tryumfami, męczył się tą ustawiczną potrzebą poświęcania wszystkich sił ducha i ciała dla państwa. Z drugiej strony, człowiek zapragnął żyć jako jednostka, nie ginąć bez śladu w nirwanie państwowej, poświęcić się poezyi, sztukom, rozkoszom; więc całą tę olbrzymią pracę rządu złożył w ręce jednego cezara; sam zaś odpoczywał, bawił się i rozweselał. Wprawdzie: *rue-runt in servitute*, ale za to cesarz Wespazyan wznosił im takie Koloseum, a Tytus kazał się mordować w niem tysiącom ludzi i zwierząt. Jakoż lud był zadowolony. Cezarowie kąpali go w łaźniach, rozdawali zboże na rynkach, pieścili. Lud kochał nawet i Nerona, który był dla nie-

go zarazem intendentem i najstarszym błaznem. Wysokie tylko głowy obcinano do ogólnego poziomu, ale spodlonej czerni tego rodzaju równość płaciła właśnie za wolność. Płaciły jednak przede wszystkim igrzyska. Tu z «kunikulów» w Koloseum odzywały się nocami przeciągle ryki lwów. Dziś olbrzymia ruina świeci pustemi oknami, ale dawniej wśród ryku zwierząt i chrapania konających, dziewięćdziesiąt tysięcy gardzieli wołało: *Macte!* Klaskały dłonie, palce podnosiły się ku górze lub na dół, gladyatorowie wykrzykiwali: *Ave Caesar! Morituri te salutant!* Na arenie przesuwali się Germanowie, Gallowie, Bastarny, olbrzymi Dakowie, ludzie tak osobliwi, jak te zwierzęta, których dosyłała Afryka. Tu także konali cicho chrześcijanie. Potem ten piekielny chorał krzyków i jęków dzikich, i wściekłych, i rozpaczliwych lub pokornych, umilkł raz na zawsze, a na przesiąklej krwi arenie rozciągnął, w głuchem milczeniu, ramiona krzyż.

Dziś niema krzyża. Władze świeckie kazały go uprzątnąć. Zresztą wznosił się on już wśród zwalisk. Olbrzymi gmach zaczął sam przez się rozpadać się w gruzy. Normand Guiscard zburzył go w części, reszty dokonały czas i chci-

wość ludzka. *Quod non fecerunt barbari, fecere Barberini!* Palace Barberinich i Farnezów budowane są z cegły, grabionej w Koloseum; potem przez całe wieki okradał je kto chciał. Dopiero za czasów Napoleona zaczęto niby odbudowywać gmach i wzniesiono, a raczej odnowiono, kilkanaście sklepień, ale próby owe były i pozostały, w stosunku do całości, kroplą w morzu. Całość sterczy do dziś dnia potworna, zczerniała, połamana, obumarła i prawie niepodobna do dzieła rąk ludzkich. Widziałem ją w blaskach słońca i przy księżycu. W nocy jest prawie straszna swoim ogromem, ruiną i pustką. Zamieszkują ją teraz skorpiony, nietoperze i zniszczenie.

Pod sklepieniem łuku Konstantyna przechodzi droga do łaźni Karakalli. Droga to prześliczna, wśród ogrodów i wądołów, których szczyty pokryte są sosnami kształtu parasoli, stoki zaś porastają winogradem i wysoką kukurydzą. Na prawo i na lewo, raz wraz ponad masą zieleni, wznoszą się jakieś zwaliska i szczątki. Krajobraz jest włoski, pełen słodczy, światła, lazuru, a oko leci daleko w przezroczy powietrznej. Cichość przerywają tylko ćwierkania wróbli na drzewach, bo zresztą dziwnie jest

mało ruchu w tej okolicy. Idąc, spotkałem tylko jeden wóz wysoki, ładowny, zaprzężony w muły, poobwieszane dzwonkami; prócz niego ani żywej duszy. Droga, objęta murami, zwęża się i zakręca tak, że do łaźni dochodzi się prawie niespodzianie. Zapłaciwszy franka u wejścia, wszedłem do środka, a wszedłszy, począłem się rozglądać na wszystkie strony i mimo-woli pytałem siebie: gdzie jestem? Koloseum w porównaniu z temi zwaliskami jest poprostu małe. Żaden gmach nowożytny nie daje nam wyobrażenia o wielkości łaźni. Olbrzymie milczące komnaty otwierają się jedna za drugą. Z przedsionka wchodzi się do frigidarium, dalej do tepidarium i callidarium.

Podnosim oczy do nieba, którego krąg ogromny widać z każdej komnaty; potem do stropu opustoszałych murów — i te ściany z cegłą zeszkłoną przez wieki, wyniosłe, poszczerbione na szczytach, pokryte pękami zieleni, a ciche, wydają się skałami, otaczającymi jakąś dolinę górską. Stada kawek, przelatujących z wrzaskiem z jednego grzbietu muru na drugi, dopełniają złudzenia. Szczątki sklepień, przerzuconych ze ściany na ścianę, lub zwieszonych w powietrzu, ogromne złomy kamienia poroz-

praszane bezładnie, przypominają fantazyę przyrodzenia. Chwilami zdawało mi się, że jestem w górach, w jakimś kenionie amerykańskim. Glucho tu też także jak w górach, przestronno i pusto, kawki tylko krzyczą, ale szum miasta nie dochodzi wcale. Jednakże to dzieło rąk ludzkich, to łaźnie Karakalli! W kątach murów leżą jeszcze szczątki posągów, tułowy i głowy, a tam, gdzie trawa i wrzos nie pokrywają gruntu, odsłania się oczom najpyszniejsza mozaikowa posadzka, układana w kwiaty, zwierzęta i ludzi. Obszedłem wszystkie komnaty; po jakiś szczątkach schodów wydostałem się na zrąb wewnętrznej ściany, skąd oczyma mogłem ogarnąć lepiej całość. Ogrom jej przechodzi stanowczo nasze pojęcia o budowlach ludzkich; dzieło to zupełnie przyrody, naokoło skały i skały! Ale okrucy cegieł poczęły się wysuwać z szelestem z pod nóg moich; trzeba było zejść, tembardziej, że i słońce jęło zachodzić. Ostatnie jego promienie rzucały złote blaski na owe szczyty sterczące; stada kawek poszły spać, niebo czerwieniło się coraz więcej; wreszcie głos stróża, rozlegający się echem, wywołał mnie ze zwalisk. Doszedłszy do skrzyżtka drogi, raz jeszcze rzuciłem na nie oczyma. W świetle zorzy były

takie czerwone, jak krew. Wydostałem się wreszcie na drogę, wiodącą do łuku Konstantyna. W dzień była pusta, teraz zaś gromady chłopów i dziewcząt wracały od roboty, zapewne z winnic i pól kukurydzowych, a wracając, zawodziły chórem pieśni. Świeże i wdzięczne głosy rozlegały się poetycznie wśród ciszy wieczornej. Tymczasem ciemniało coraz bardziej, i na koniec zrobiła się noc, ale noc włoska, ciepła, gwiazdzista. Księżyc roztoczył już na Forum i Koloseum czarodziejstwo białych promieni. Śpiewające gromady długo jeszcze szły razem ze mną i stopniały dopiero w labiryncie wązkich uliczek, otaczających Kapitol.

Z WENECYI.

«Może jest rzeczą nieroztropną spisywać pierwsze wrażenia, ale czemuż ich nie spisać, skoro się ich doznaje?» Biorę za punkt wyjścia te słowa Taine'a i bez innych wstępów posyłam wam list z Wenecyi. Życie włoskie, a etnograficznie biorąc, Włochy zaczynają się już od Tryestu. Pociąg, który cały dzień przebiegał wężowatą linią góry iliryskie i dalmackie, pokryte winnicami lub siwo-perłowym kamieniem, staje w Tryeście o godzinie dziesiątej w nocy. Kto chce jechać dalej, musi zaraz dotrzeć do portu. Możnaby dalej jechać i koleją, ale po kilkodziennym trzęsieniu w ciasnych wagonach, milej jest pokolysać się na falach Adryatyku. Widzi się więc miasto w przelocie, ale jednego rzutu oka dosyć, aby się przekonać, że tu już życie od północnego odmienne. Miasto

wielkie, o szerokich, dobrze oświetlonych ulicach, wyłożonych nie brukiem, ale płytami kamienia; domy wysokie błyszczą, jak marmurowe, w blasku lamp; otwarte kawiarnie zalewają ulice światłem; przed kawiarniami oleandry w wazonach i marmurowe stoliki, przy których roją się tłumy ludzi. Nosi to już charakter południowy. Ludność widocznie wysypuje się rojnie na ulicę dopiero wieczorem, gdy upał dzienny przejdzie. Wówczas to wszystko, co żyje, bawi się, przechadza, spotyka i rozmawia. Między tłumem widać strojnych mężczyzn i strojne kobiety o czarnych oczach, przy których gasną lampy. Ulice ze swemi płytami marmuru i kamienia zamiast bruku, z mnóstwem świateł, z oleandrami i z publicznością wystrojoną świątecznie, robią zupełnie inne wrażenie, niż ulice miast północnych: jest to raczej portyk, służący jako miejsce spotkań. Dodajmy do tego przepyszny wieczór, miliony gwiazd na niebie, drganie słodkiego języka w ustach kobiecych, a zrozumiemy, dlaczego Tryest daje jakoby przedsmak Włoch.

Ale wszystko to widzi się, jak wspomniałem, w przelocie; trzeba bowiem śpieszyć się do portu. Zegary miejskie biją na różne tony jedena-

stą. Świeży powiew morski wskazuje, w którą stronę należy się kierować. Po kilkuset krokach pod nogami nie czuje się już kamienia, ale deski. To już dyga portowa. Szeregi świateł, połyskujących w dali we wszystkich kierunkach, nie rozświecają ciemności, na której tle rysują się ciemniejsze jeszcze sylwetki kominów i masztów. Czasem snop iskier buchnie z takiej sylwetki i rozsypie się w deszcz złoty, którego krople gasną cicho; czasem panującą tu ciszę przerwie świst parowca: zresztą, z powodu późnej godziny, pusto tu i w porównaniu z szumem miasta głucho. Niema się nawet kogo spytać, gdzie szukać parowca. Jednakże oświetlone budki wskazują co kilkaset kroków drogę; w jednej z nich, stojącej otworem, kupuje się bilety do Wenecyi.

Czarne zarysy statku wykreślają się posępniemi liniami tuż za budką. Zawieszona na przednim maszcie błękitna lampka zdaje się tkwić w powietrzu i rozświeca banderyę «Lloyda». Na pomoście widać ludzi z latarkami. Pół godziny pozostaje jeszcze do wyruszenia; tymczasem zwolna schodzą się podróżni. Jeśli noc jest piękna, najlepiej podróżować na pokładzie, a także i najtaniej, albowiem przejazd tylko trzy kosz-

tuje guldeny. Ułożywszy węzelek z rzeczami na wystającym z pokładu pomoście, pokrytym żaglowem płótnem, wyciągnąłem swobodnie skurczone długą jazdą w wagonie członki. Panujący tu mrok słabo rozświecają jeszcze wejścia do kajut i okno, przez które widać potężne polerowane członki maszyny, zginające się zwolna w swoich mosiężnych stawach, jakby dla nabrania rozpędu. Podróżnych schodzi się coraz więcej; bieganie ludzi z latarkami staje się szybsze, śruba poczyną burzyć wodę, i wreszcie wyjeżdżamy. Chłodny powiew dolatuje teraz z szerokich przestrzeni morskich. Tryest szeregiem domów i świateł zdaje się oddalać, jakby zasuwając pod wodę, przesłaniać się mgłą, a na koniec niknąć w oddaleniu i ciemności. Noc jest przepyszna, cicha, ciepła, gwiazdzista; statek nie kołysze się prawie, bo toń morską wygląda jak nieprzejrzone zwierciadło bez jednej skazy. Razem z myślą, że jestem na klasycznym Adryatyku, przed oczyma przesuwają mi się różne obrazy: to dumnych flot weneckich, to łodzi uskoków, które kołysały się niegdyś na tych falach. Potomkowie, a przynajmniej pobratymcy tychże uskoków, dalmaccy rybacy, leżą oto w tej chwili przy mnie na pomoście.

W ciemności mogę zaledwie odróżnić ich postacie, ale słyszę prowadzoną półgłosem rozmowę, którą prawie zupełnie rozumiem, mnóstwo bowiem w niej wyrazów do polskich podobnych. Ten blizki naszemu język, słyszany w nocy na falach Adryatyku, dziwne sprawia wrażenie i dziwne myśli napędza do głowy. Cóż to za olbrzymie przestrzenie między Bałtykiem, morzem Czarnem i Adryatykiem, zamieszkane przez ludy jednego szczepu! Mimowoli czuje się w tem jakąś przyszłość, bez określonych jeszcze kształtów, ale tak ogromną, że pod jej technieniem myśl zwiја skrzydła. Niegdyś te południowe szczepy patrzyły w gwiazdę Warneńczyka, jak w gwiazdę zbawienia...

Pytałem towarzyszków Dalmatów, w jakim celu jadą do «Mlecina». Odpowiedź nasunęła mi na myśl wiersz Mickiewiczowski, pod tytułem «Morlach w Wenecyi»:

Gdym ostatniego cekina postradał,
I gdy mnie chytra zdradziła niewiasta,
Życie mi zbrzydło, a Włoch mi powiadał:
»Dymitry! pójdźmy do morskiego miasta!«

Jechali za zarobkiem. Biedny lud! Owe góry, pokryte siwo-płowym kamieniem, nie rodzą

widocznie zbytku chleba. Nie wiedzieli jednak zapewne, że w Wenecyi trudniej dziś o chleb, niż w Tryeście. Na pogawędce z nimi uchodziła noc. Brzask rozświetlił rosłe ich postacie o szerokich ramionach i rzymskich głowach, przybranych w czerwone, podobne do frygijskich, czapki, ale zarazem zwrócił moją uwagę gdzieindziej. Tyle razy już widziałem «kiedy ranne zorze wstają» na różnych morzach, że podobne zjawiska nie powinny na mnie robić wrażenia, ale świt na Adryatyku szczególnie jest uroczysty. Zaczyna się on od wody. Gładka toń mareszczy się zlekka, jakby w luskę, która stopniowo zaczyna srebrzyć się i blednąć. Woda staje się z wolna jaśniejsza od nieba; coraz więcej blasku wsiąka w ciemności, z tą bladą czystością linii, określanych srebrnymi refleksami. Wierzchnia warstwa wody rozświetla się coraz mocniej, a odbicia jej padają i na twarze ludzkie. Dal morską odsłania się stopniowo, zupełnie jakby kto podnosił z niej zasłonę. Tu i owdzie na horyzoncie widać już trójkątne żagle lacińskie. Lekki powiew, który dochodzi z przestrzeni, zdaje się przynosić z sobą błękit i blaski. Widnieje! widnieje! Świtanie wygląda jak uśmiech blady i smętny, ale nadzwyczaj łagod-

ny i po prostu niepokalany. Potem od strony Tryestu zjawia się różaność, złoto i cała cudna gra kolorów porannych; światło tryska, rozlewa się, obejmuje cały widnokrag, a z przeciwnej strony wynurza się z wody, w tych blaskach i majestacie — Wenecya, «la Bella».

Dziwne miasto! Czwarty tydzień upływa, jak kręcę się między placem św. Marka, Canale Grande, Giudeca i Riva dei Schiavoni, a zawsze ma dla mnie coś nowego. Ale nie obawiajcie się: nie chcę stawiać do współzawodnictwa z Bedekerem i opisywać osobliwości tujejszych: zawartości kościołów, starych pałaców, muzeów i galeryi; są to rzeczy znane, i nie można mówić o nich, by zarazem nie przyszedł na myśl typ rudego turysty Anglika, z zadartą głową i czerwoną książką w rękę, a zarazem i drugi typ włoskiego *cicerone*, który, oprowadzając *his lordship* po salach palacu dożów, recytuje jednym tchem nazwy malarzy weneckich, poczynawszy od Giovanniego Bellini, Tycjana, Veronesa, a skończywszy na Canalettim. Jest już w tem coś konwenyonalnego, a zresztą opis dzieł sztuki albo ma być gruntownem studyum znawcy, albo niech go nie będzie. Wolę więc mówić o ogólnem wrażeniu, jakie robi

Wenecya, i o życiu, jak się ono od razu przedstawia oku przejeżdżającego. Iluż to w kraju słyszałem mówiących o Wenecyi z rozczarowaniem! Ktoś, komu z dzieciństwa mówiono o pałacach weneckich, i kto, przybywszy tu, spodziewał się ujrzeć w najgorszym razie tak porządne kamienice, jak w głównych ulicach Warszawy, świeże, wymalowane, wybielone, o trzech-szybowych oknach — doznaje zawodu. Tu, w ciche wody Canale Grande zsuwają się mury pałaców, zczerniały, popaczone, osiadłe; miejscami wilgoć popstrzyła je w plamy, przypominające grzbiet jaszczurki, i potworzyły się pasma czarnej pleśni. U stóp, gdzie woda obejmuje kamień, osiadły zielone włókna śliskich mchów, porostów i rzęsy; miejscami tynk popadał w spojeniach; kamienne koronki nad ostrymi łukami maurytańskich okien wybladły od deszczów, lub w złamaniach poczerniały od dymu. Mijamy domy Desdemony, Barberinich, Foscarich, Pesarów, Calergich, Tiepolich, Cornarów, a wreszcie potężną arkadę Rialto; wszędzie to samo. Tradycya rodów potężnych, a wygasłych lub zbiedniałych, wieje od tych pałaców. Okna ich pozamykane na glucho okienicami; w bramach rzadko ukaże się twarz do-

mownika. Mury to dumne i poważne, ale posępne i jakby zapatrzone w przeszłość. Za to jakże pełne charakteru, jak różne od tych budowli, które można widzieć w innych miastach! Z wyjątkiem kilku gmachów w stylu Odrodzenia, w przeważnej liczbie, myśl architektoniczna wenecka, biorąca początek w gotyku, pomieszała się z maurytańską. Okna wąskie, wysokie, zakończone ostrym łukiem, powycinane w liść koniczyzny, stoją tuż przy sobie, poprzdzielane tylko kolumnami. Ale te kolumny to nie gotyckie pęki strzał, rozchodzące się bezpośrednio w sklepienia, to raczej kolumny bizantyjskie o rozkwitłym nad miarę kapitelu. Spodnią część okien obejmują małe i ciasne balkony. Od wielkich drzwi wschodowych szerokie schody spuszczały się wprost w wodę, przed schodami zaś sterczą pochyłe pale, służące do przywiązywania gondoli.

Wszystko wygląda jakby spało. Na rogach tylko, przy ujściach bocznych kanałów, widać trochę więcej życia. Na złamaniach murów tu i owdzie powznoszono tarasy, pokryte roślinnością. Dzikie wino, powoje i klasyczny bluszcz zwieszają się w festonach, pokrywając ostre zarysy muru i szczyby; czasem figa wygląda

z za kamiennej ściany, czasem dolatują stamtąd głosy ludzkie, lub dźwięki jakiego instrumentu. Ale wogóle na Canale Grande, w porównaniu z innemi częściami miasta, mało jest ruchu. Przesuwające się gondole nie mącą ciszy i na krótko tylko fałdują gładką toń, która po brzegach odbija spokojnie i czysto szeregi uspio-nych pałaców, wszystkie kolumny, zagięcia, rzeźbienia, środkiem zaś błękit nieba.

Przez którykolwiek z bocznych kanałów można się dostać z tej Wenecyi uspioonej, historycznej, do Wenecyi ludowej. Jest to cała sieć uliczek, z których jedne są kanałami, inne powycinane w stałym gruncie, i tu jednakże nie znajdziesz kamienie, budowanych wedle wyobrażeń filistrów XIX wieku. Bóg wie kiedy powznoszono te budowle, dziś popaczone, odra-pane, które, wszystkie razem wzięte, sprawiają wrażenie rudery. Ale właśnie w tem ich wdzięk i artystyczny charakter. Uliczki po większej części tak są wąskie, że między szeregi domów niepodobna rąk rozpostrzeć. Mieszkańcy domów, stojących naprzeciw siebie, mogą nie tylko rozmawiać, lecz i szeptać sobie do ucha. Co za pole do romantycznych zdarzeń i miłos-nych westchnień, do których usposabia tu zresz-

tą wszystko! Młoda twarz, ujęta w starożytną splekaną ramę okna, wygląda jak artystyczny obraz; mrok, panujący na uliczce, rzuca na nią tajemnicze półświatła i cienie, zczerwieniałe mury podnoszą białosć płci.

Zapewne też wiele miłosnych scen rozgrywa się tu między doniczkami kwiatów na trzecich i czwartych piętrach, w pogodne wieczory tutejsze. W dzień roi się w labiryncie tych korytarzy życie ludowe. W otwartych sklepach sprzedają południowe owoce, ryby, kraby, ostrygi, pająki morskie i. wogóle wszystko, co zwie się *frutti di mare*. Rybacy o brązowych twarzach, z koszami na głowach, nawołują potężnym głosem do kupna swego towaru; polentą dymi na straganach; okrzyki: *Aqua fresca!* lub: *Langurie! langurie!* — mieszają się z nawoływaniem rybaków. Półnagie dzieciaki, czarne jak Cyganięta i zamorusane, gryzą chleb św. Jana, grają po kątach w *more*, lub żebrzą, a na cokółkach mostków śpią w cieniu robotnicy, powyciągawszy malowniczo swoje potężne członki. Wszystko odbywa się na ulicy. Tu gotują w żelaznym piecyku obiad, tam piorą bieliznę; na progach domów siedzą kobiety z obnażonemi piersiami, karmiąc dzieci; na placykach, przy

studniach gawędzą i chychoczą młode dziewczyny; wszystko to rozmawia głośno, gestykuluje z żywością Włochom wrodzoną, i mimowoli pozuje jakby do obrazu.

Przeszedłszy setkami mostów i uliczek całą długość miasta, kierujemy się od środka ku brzegowi i wydostajemy się na sam koniec Riva dei Schiavoni. Z jednej strony kończy miasto wązki cypel, na którym założono ogród ludowy, z drugiej widać wejście do Canale Grande. Riva dei Schiavoni to próg Wenecyi od zatoki. Szereg zatoczonych łagodnym łukiem domów i obszerny kamienny taras, pospinany w przerwach mostami, zajmują cały brzeg. Podróżnik, wjeżdżający statkiem, ogarnia jednym rzutem oka większą część miasta, od grodu królewskiego Piazzetty i Palazzo Ducale, aż do ogrodu ludowego. Ex-królowa mórz ukazuje się z tej strony w całym majestacie. Błękitna fala zatoki obmywa jej stopy i kołysze gondole, stojące przy tarasie. Większa część cudzoziemców umieszcza się w hotelach na Rivie, z okien ich bowiem wzrok ogarnia budowle arsenału, wszystkie okręty stojące w porcie, flagi różnych narodów, łodzie rybackie i dalekie mgliste wieże Lido, zdające się wytryskać wprost z pod wo-

dy, a wreszcie gubi się w błękitach morza i nieba. Wieczorem, gdy słońce zachodzi, niema tak świetnych barw w świecie, któremiby nie miała się zatoka. Złoto, purpura, opal, rubiny i szafiry grają naprzemian na fali i migocą w tysiącznych odblaskach. Gdy się ściemni, widok się zmienia: księżyc oblewa wówczas białem światłem kościół Santa-Maria della Salute, pałac książęcy i ściele długie srebrne gościńce na wodzie. Okręty wywieszają na masztach kolorowe lampki; tysiące światelek, poprzywiązywanych do gondoli, uwija się po zatoce; wówczas majtkowie i rybacy gromadzą się po całodziennym trudzie na tarasie Rivy i śpiewają chóralnie do późnej nocy.

Tłumy, rozśpiewane i rozkolysane bezświadomie urokiem nocy i miasta, krążą od ogrodu do Piazzetty. Piazzetta to znowu przedsionek placu św. Marka. Jeden jej bok stanowi wsparta na kolumnach i arkadach ściana pałacu dożów, drugi — nowa prokuratoria; u wejścia zaś wznoszą się dwa ogromne słupy, wycięte każdy z jednej sztuki granitu; stojący na prawo dźwiga na sobie skrzydlatego lwa weneckiego, na lewo — św. Teodora. Powtarzam, że Piazzetta jest przedsionkiem do największego w świecie salonu, ja-

kim jest plac św. Marka. Trzy ściany salonu stanowią prokuratorye; czwarty, najozdobniejszy, to dziwna bizantyjska budowla, złożona z marmurów i mozaik, która zwie się kościołem św. Marka. Wysoka na piętnaście piątr wieża dzwonnicza, czyli tak zwana «campanilla», wznosi się na rogu bliżej Piazzetty.

Trudnoby znaleźć drugi plac w Europie, któryby wytrzymał porównanie pod pewnymi względami z owym Piazza di Santo Marco. Szlachetna prostota prokuratoryi znajduje tu równowagę w barwnej dekoracyjnej budowie kościoła, a oko, zmęczone prostemi liniami, chętnie spoczywa na powyginanych łukach, złożonych zagłębieniach i wypukłych wieżach świątyni, której bogactwo, w innem otoczeniu, zbytby może było rażące. Równie odrębnym i szczególnym jest charakter placu. Niema tu kurzu miejskiego, pojazdów, dorożek, koni, turkotu, a znaczna część przestrzeni, przytykającej do arkad, zastawiona jest stolikami, przy których siedzi się zupełnie, jak w salonie. Wieczorem plac jest miejscem rendez-vous dla całego pięknego świata weneckiego. Kto nie chce siedzieć w domu, ten stanowczo nie może być gdzieinziej. Tu słucha się muzyki, tu pije się ochla-

dzające napoje, tu się przechadza, przypatruje publiczności, towarzyszy kobietom, spotyka kogo się chce spotkać, robi znajomości, słowem: jest się jak na balu publicznym. Dźwięki muzyki, szelest wachlarzy, ogniste spojrzenia oczu włoskich, mnóstwo światła, wyfrakowana służba, roznosząca napitki, strojne kobiety, które zamiast kapeluszy przypinają koronki do włosów, potęgują jeszcze wrażenie balu; tylko, gdy wzrok podniesie się do góry i na czarnem tle nieba ujrzy tysiące migocących gwiazd, wówczas przypomina sobie człowiek, że nie jest w jakiejś olbrzymiej sali, lecz na ulicy.

Podczas dnia mniej tu ruchu. Widać tylko stada gołębi, tak oswojonych, że bez najmniejszej obawy siadają na ramionach i rękach karmiącym je osobom, i cudzoziemców z książkami w ręku, zwiedzających kościół lub pałac dołów. Ostatnia ta budowla w stylu maurytańskim to kamienna kronika Wenecyi. Cicerone wprowadza podróżnika we wspaniałe podwórze, wskazuje miejsce, gdzie dawniej była lwia paszcza do wrzucania denuncyacyi, wiedzie przez schody olbrzymów w krużganki, nakoniec okazuje cały szereg olbrzymich sal, zdobnych portretami i obrazami mistrzów weneckich, prze-

ważnie Veronesa i Tintoretta. Każda z tych sal to arcydzieło i pamiątka zarazem. Tu zasiadał senat patrycyuszów, tam przyjmowano ambasadorów, tu zbierała się straszna rada Dziesięciu, tam straszniejsza jeszcze Trzech. Z sali obrad Trzech, przez tajne drzwiczki, korytarze, przez złowrogi Ponte dei Sospiri, schodzi się do więzień.

Przewodnik zapala pochodnie i po wązkich schodkach spuszcza się ku czarnym, jak noc, sklepieniom, od których wieje wilgocią i stęchlizną. Jakiś ciężar ugniata piersi, gdy się widzi te kamienne nory o niskich wchodowych otworach, bez okien, bez światła i powietrza. Czas i postęp opróżnił je z ofiar, ale nie starł z nich piętna okropności i zgrozy. Blaski pochodni zdają się rozświecać na czarnych ścianach plamy krwi, a przytłumiony głos przewodnika budzi posępne echa historyczne. Tu siedział Foscarini, tu Marino Falieri, tu go ścięto, tam spowiadano ofiary, tamtym otworem, umyślnie wyżłobionym w kamieniu, spływała krew w wodę kanału. Podróżnikowi zdaje się, że to sen lub jakaś sensacyjna dekoracja z dramatu Wiktora Hugo, a jednak to rzeczywistość, do której przechodzi się wprost ze złonych komnat palacu. Czu-

jesz wówczas, że dosyć masz wszystkiego: i sal, i więzień, i całego gmachu, a w duszy mówisz sobie: Błogosławiony niech będzie postęp, który raz na zawsze zamknął tę krwawą księgę toporów, katów, krwi i panowania oligarchii kupieckiej! Historya nie zna straszniejszych władców od kupców-oligarchów. Okrucieństwa pojedynczych tyranów greckich lub średniowiecznych książąt były nadużyciem, okrucieństwa kupieckich archontów — systemem. Dzieje wewnętrzne Kartaginy i młodszej jej siostry, Wenecyi, są jednakie. Na myśl mimowoli nasuwa się porównanie i podobieństwo między temi dwiema rzeczpospolitemi, które w chwilach rozkwitu doszły do takiej potęgi, a które nie zostawiły po sobie żadnej idei błogosławionej.

Patrząc na salę palacu dożów, na szeregi kolumn, na złocenia, mozaiki i marmury, na arcydziela Veronesów i Tintorettów, na portrety dożów, poubierane w aksamit i strusie pióra, napróżno pytasz się siebie: do czego to służyło? czem było dla ludzkości? jaka wyższa ogólnoludzka idea wiodła tych kupców?... I nie znajdziesz odpowiedzi. Ze zmroku dziejów wychyla się twarz tej rzeczypospolitej, marmurowa, dumna, potężna, ze lwimi zmarszczkami na czole,

albo jakby gniewna, zła, okrwawiona, bezduszn*a* i bez gwiazdy-idei nad głową. Z jakąż otuchą myśl wówczas leci daleko, nad ciemne bory sosnowe i szare pola! z jakąż ulgą rozpatruje się w tych dziejach, tak innych, nierządn*ych* wprowadzie i gwarn*ych*, ale tak prawdziwie ludzkich! Spytajcie kogokolwiek, gdzieby chciał żyć, gdyby się urodził w wiekach średnich? Tam, gdzie nie było lwich paszcz do wrzucania denuncyacyi, ani rady Dziesięciu, ani rady Trzech, ani mostów Westchnień, ani czarnych nor nad kanałami! Było wprowadzie mniej kolumn, mozaik i strusich piór, ale była idea, która niosła, jak archanioł, skrzydlate zastępy na Niemców w obronie Słowian, na Turków w obronie Niemców...

Dziś wprowadzie moda inaczej patrzeć na te dzieje. Dziś marmurowym postaciom, śpiącym od wieków w słodkim majestacie, zarzucają i z katedry, że nie umiały być Ludwikami XI; ale ja, wędrowiec, gdym w pysznym pałacu dożów myślał i porównywał, mimowoli podnosiłem z dumą głowę do góry, a na pamięć nasuwał mi się wpół zapomniany wiersz Klemensa Janickiego:

»Jać nie boleje, żem sarmackie dziecię...«

Z PARYŻA.

Obok tego Paryża, który się bawi, świeci jak wał stubarwny, szumi, hałasuje i laknie rozkoszy, jest drugi, który się uczy i myśli. Zamierający w czasie upałów letnich ruch umysłowy ożywia się za nadejściem chłodów i jesiennej niepogody. Akademie rozpoczynają swoje posiedzenia i prace, wystawy księgarskie zdobią się coraz nowemi książkami, kolegia ściągają rozproszonych słuchaczy. Pracowite mrówki naukowe znoszą ze wszystkich stron żdźbła wiedzy i składają je do wspólnego mrowiska; zawiązują się naukowe spory i rozprawy, i w ten sposób, życiem wewnętrznem, życiem ducha i idei, dopełnia się zewnętrzne, goniące tylko za użyciem, za bogactwem, za zabawą i zbytkiem, słowem: wyłącznie za chlebem i igrzyskiem.

W owym to zimowym okresie panowania muz, uwaga publiczna nastraja się także poważniej i zajmuje się nie tylko dniową polityką, nie tylko «haussą» i «baissą» giełdową, albo anegdotami o publicznych ludziach, ale interesuje się również żywo tem, co się dzieje w łonie towarzystw naukowych, co nowego odkryto, powiedziano, gdzie jaki profesor wyklada i jak swój przedmiot traktuje. Jest to może charakterystyczną cechą Francyi i Paryża, że tu uczeni nie stanowili nigdy, nakształt średniowiecznych Różokrzyżowców, bractw zamkniętych. Mszę przy ołtarzu nauki odprawiają wprowadzić tylko kapłani, ale słucha owej mszy cała publiczność. Z ostatecznych przyczyn i zasad ogół nie umie sobie zapewne zdać sprawy, tak, jak większość ludzi, chodzących po Avenue de l'Opéra, nie rozumie, dlaczego lampy elektryczne palą się i rzucają blask tak jasny. Nie przeszkadza to jednak, że wszyscy korzystają z ich światła. Takie popularyzowanie nauki, takie dopuszczanie, z pomocą Sorbony, Collège de France i innych zakładów, szerszej publiczności do udziału w ruchu naukowym, a nawet i sądu o nim, sprawia, że nauka i płynące z niej idee nie są tu niczem pergaminowem, żółkłem, zwiędłym, jakąś wy-

łączną areną uczonych profesorów, ale czemś żywym, wchodzącem natychmiast w krew i cały organizm ogółu.

Temu to może przypisać należy, że lud ten, nie składający się przecież z jednostek bezwarunkowo najbystrzejszych i najwięcej umysłowo uzdolnionych, wie dzie jednak poniekąd rej cywilizacyjny i daje początkowanie wszelkim nowym ideom. Nie twierdzę, że powód to wyłączny, ale zapewne jeden z wielu. Nowe idee wytwarzane bywają przez uczonych lub przez społeczne warunki, ale odczuwa je i daje im popęd lud; lud zaś może je tem łatwiej i potężniej odczuwać, im szerszą drogą go dochodzą.

Obecnie, jednym z faktów, najwięcej zwracających na siebie uwagę myślącego ogółu, jest otwarcie w Collège de France wykładów literatury francuskiej nowożytnej. Rozpoczął je profesor Paweł Albert, wobec ogromnego natłoku rozciekawionej do wysokiego stopnia publiczności. Z biegiem wykładów, profesorowi przyjdzie zapewne mówić i o czasach najnowszych i o ludziach żyjących jeszcze, o dzisiejszych kierunkach, dzisiejszych walkach i drogach, po których kroczy obecnie twórczość francuska. Stąd ten żywy interes i gorączkowa ciekawość pu-

bliczności, która przychodzi tam po sprawdzenie własnych przekonań, po utwierdzenie się w sądach i estetycznych instynktach. Czy istnieje, a jeśli istnieje, to zdrowyż-li kierunek obecny? dokąd idziemy? gdzie i jaka jest synteza dzisiejszych objawów twórczości, tak rozmaitych i rozstrzelonych, że zwykle oko widzi w nich chaos i rozprzężenie? Co usłyszymy i co nam powiedzą? czy pozwolą czcić dotychczasowe bóstwa, czy może zapadnie wyrok, jaki niegdyś Kłodwig usłyszał: «Sigambrze, pal, coś czcił, a czcij, coś palił?» Oto pytania, które sobie każdy zadaje, a na które czeka odpowiedzi od nowo powołanego profesora.

Katedra literatury w Collège de France była po wszystkie czasy bardzo ważną, była bowiem niejako pośrednikiem między obozem ściśle literackim z jednej, publicznością z drugiej strony, a więc rodzajem sternika sądu ogółu. Rolę tę wypadało jej szczególnie grać około roku 1820, w czasie walki klasyków z romantykami, podczas której cały Paryż rozdzielił się na dwa obozy.

Nigdzie może nie prowadzono walki tak zaciętej i na tak szeroką skalę o sprawę, nikogo bezpośrednio nie dotykającą. Kolej walki i sta-

nowisko względem niej katedry kreśli p. Albert w pierwszym swoim wykładzie. Między dwoma tymi wojującymi kościołami wahała się masa, raz chętna nowościom, to znów przerażona zachwalstwem apostołów, a mająca jednak przychyleniem się swojem zapewnić zwycięstwo. Oczy tysięcy zwracały się wówczas na katedrę i tysiączne głosy zdawały się pytać: «Kędy iść, mistrzu?» Ówczesny mistrz Andrieux nie dawał wprost odpowiedzi, pomimo, iż w gruncie rzeczy duszą i ciałem należał do «peruk». Sam poeta, w walce zatem interesowany, z natury słodki, łagodny, ceniący formę spokojną i w karby ujętą, bał się tej nowej romantycznej burzy, więc romantykiem być nie chciał i nie mógł. Też same jednak przymioty nie usposobiły go i do walki. Prowadził wprawdzie wojnę z nową szkołą, ale sobie taką małą wojenkę aluzyi, ostrożnych epigramatów, które zachwycaly niektórych, klasycznie wykwintych słuchaczy, ale nie zaspokajały ogółu. Publiczność spodziewała się czegoś innego. Wołano wówczas o sąd, o wyrok potężny jak grom, stanowczy jak papieska encyklika.

W takich czasach przewrotu, gdy idzie o przeciągnięcie mas, o śmierć lub życie; gdy każdy,

kto się do solidarności poczuwa, macha piórem, jak cepem, — takie stanowisko ostrożne, takie wojowanie ołowianą szabelką docinków nie wystarcza. Trzeba wówczas przycisnąć przeciwnika do muru i wsadzić mu kulę w ucho, inaczej on to zrobi. Andrieux nie był do tego stworzony, skończyło się więc, że publiczność czuła tylko zawód, a przeciwnik, biorąc szturmem pozycję po pozycyi, odpowiadał uczonemu i jego obywateli krwawemi słowy:

»Vieillard, va-t'en donner mesure au fossoyeur...
Viellard stupide!...« *(Hernani).*

Wreszcie przeciwnik zdobył i katedrę, w osobie M. Ampère'a, który był już zdecydowanym romantykiem. Przypadło to w najgorętsze czasy walki, zawiści i nietolerancji, posuniętej do najwyższego stopnia. W Niemczech, Anglii, we Włoszech i w Polsce, mury były już rozbite, przeszkody zdruzgotane: nowe arcydzieła, jakby nowe słońca, okazywały się codziennie; nowy świat jakiś przewiewał umysły z jednego końca Europy w drugi, Francya jedna tylko nie chciała jeszcze wiedzieć nic o sąsiadach, nie знаła ich prac, wygwizdywała Szekspira; ciągnięta za uszy i włosy, nie chciała jednak wyjść ze swego XVII wieku, wypierając się własnych daw-

niejszych tradycyi i otaczając jakby murem chińskim odosobnienia. Ampère uderzył w ten mur. Tradycye średniowieczne, z których rodził się romantyzm, wiązały Francję z Niemcami, Włochami i Hiszpanią; Ampère jest więc tam wszędzie, bada nowy kierunek na wszystkich lekceważonych dotąd polach, szuka słowa zagadki wszędzie, choćby mu w Skandynawii i Meksyku szukać przyszło, i wreszcie pierwszy kładzie naukową pieczęć pod nowem wyznaniem poetycznej wiary, pierwszy mówi z katedry tym wszystkim, którzy aż dotąd nieśmiało tylko wierzyli: «Możecie wierzyć otwarcie, albo wiem rozum i nauka są po waszej stronie!».

Po Lemoine'ie, znakomitym krytyku, i po krótkotrwałych wykładach p. Feugère'a, wyjątkowo poświęconych wiekowi XVII, Paul Albert jest czwartym z kolei profesorem, który o romantyzmie mówić będzie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakkolwiek walka z klasykami, jak wszędzie, tak i we Francyi, została raz na zawsze ukończoną, i o zawrocie do czasów pseudo-klasycznych mowy nawet być nie może, przecie sprawa racyi samego romantyzmu mniej została rozstrzygnięta, zatem więcej do dziś interesująca.

U nas romantyzm, oprócz średniowiecznych tradycji, wchłonawszy w siebie utwory wyobraźni ludowej, wsparł się na bardzo szerokiej podstawie, a przytem, przez swój zwrot potężny ku całemu ogółowi, zmienił do wysokiego stopnia swój charakter, uprawnił się niejako, związał z życiem, stał się istotą i prawdziwą poezją ogółu. Niema wątpliwości, że miał i u nas wiele złych stron. Bez wątpienia rozluźnił do wysokiego stopnia formę artystyczną i wprowadził pewną swawolę językową, zadowalającą się przewagą mnóstwa słów nad treścią. Również kazał się często zapalać na zimno do rozmaitych gminnych, do niebywałych istot i bohaterów, do bogów, dawnych bożków litewskich, lub pomorskich, w czem nie było żadnej szczerości, bo inna sprawa, jeśli poeta takie rzeczy od ludu i w imię ludu maluje, a inna gdy udaje, że sam w nie wierzy i czytelnikom każe wierzyć. Wprowadzało to pewną modę, pozbawioną wszelkiego rozsądku i prawdy. Z drugiej strony w najwspólniejszym nawet swym zwrocie, w tym właśnie, który go związał z życiem i prawdą uczuć całego ogółu, nowy kierunek, gdy jako *Gustavus obiit*, a jako *Conradus natus est*, popadł w mistycyzm, nastroił chorobliwie uczucia i wyobraź-

nie, uchrystusował i ubóstwił wszystko; zdjął z ogółu wszelką odpowiedzialność, zatem zamknął oczy na potrzebę rachowania się i odradzania z win. To wszystko było także winą, ale ze stanowiska społecznego, na którem za-trzymywać się dłużej nie chcę. Swoją drogą zwrot był dokonany: z Gustawa zrodził się Konrad, a przezeń jedna więcej, zdrowa, życiowa i prawdziwa zasada została zapewniona.

Nic podobnego w znaczeniu ogólnem nie stało się we Francyi. Warunki tu były inne. Roman-tyzm francuski nie mógł być i nie był czemś tak z wnętrzości narodu francuskiego płyną-cem i nigdy nie stał się bezpośrednio patryo-tycznym. Z drugiej strony nie oparł się także na podstawie ludowej, z tej prostej przyczyny, że podstawy tej brakło w samym ludzie. Fan-tazya ludów słowiańskich to prawdziwie prze-zroczysta powierzchnia jeziora, w której odbija się wszystko: ziemia, pola, lasy, stepy, słońce i gwiazdy. Co więcej, odbicie to nie jest tylko biernem. Z połączeń owych różnych pierwiast-ków przyrody, z owego popędu dopatrywania w nich żyjącej duszy, z pewnej wrodzonej tym ludom skłonności do mistycyzmu, powstaje ty-siące nowych postaci: wil, dziwożon, rusałek

i świtezianek, upiorów. Wobec nich porównanie fantazyi do toni jeziora już nie wystarcza. Jest ona raczej zwierciadłem czarnoksiężkiem, w którym odbija się nietylko krajobraz, ale jego dusza odgadnięta i w tysiącu kształtów upostaciowana, w którym zmartwychwstaje przeszłość, a nawet przyszłość zarysowująca się w mglistych obrazach.

Weźmy klechdy i bajki polskie, dumy ruskie, epiczne pieśni serbskie, lub niedawno wynalezione bułgarskie! Czyż nie przesuną one przed naszemi oczyma kraju, historii, hufców, zbrojnych rycerzy ze skrzydłami, kozaków pławiących się w trawach po pachy, junaków serbskich, Turków, Tatarów, jakichś postaci królewskich, nawpół w przeszłości i bajce rozplyniętych, a przez wyższe siły wspomaganych? Są to po prostu całe światy wskrzeszone, odgadnięte lub wyśnione. A kto i kiedy te pieśni tworzył? Gdzie są ich autorowie? Doprawdy, mimowoli nasuwa się porównanie, że, jako na piaskach drogowych w czasie ciszy i letniego upału zaczyna się czasem ni stąd ni zowąd kręcić i powstawać ku górze zwichrzony słup pyłu, tak i nad równiną głów ludzkich na Słowiańszczyźnie zrywa się czasem nagle i wy-

strzela ku niebu pieśń gminna, ta «arka przy-
mierza między dawnymi i nowymi laty».

Bez wszelkiej z góry powziętej chętności powiedzieć można, że mało szczepów odznacza się taką szczególną i twórczą zdolnością poetyczną, a przedewszystkiem nie odznacza się nią lud francuski. Jedni tylko Bretonowie coś tworzą, ale to i język i tradycja i nastrój duchowy bardzo odrębny. Prowancia, owa «Rus francuska», jak ją niektórzy nazywają, ma swoją wspaniałą pierwotną literaturę, któraby mogła posłużyć jako dowód przeciwny, gdyby nie to, że po uważniejszym rzucie oka łatwo przekonać się można, że literatura ta nigdy nie była gminną. Wszystkie jej utwory są dziełami literackimi, czego sama ich forma i sztuczne układanie rymów w asonancye dowodzi. Śpiewali pieśni te trubadurowie, chodząc od zamku do zamku, za przedmiot uczuć biorąc piękne kasztelanowe, za przedmiot pieśni uczucia. Życia gminnego, jego doli, jego prostoty i wierzeń niema w nich zupełnie. Pytałem o charakter tej literatury ludzi wyłącznie się jej poświęcających i przekonałem się, że żaden z nich nie przyznawał jej charakteru ludowego. O reszcie Francyi mniej jeszcze można powiedzieć. U nas

fantazya i poezya ludowa zasila książkową, tu odwrotnie: książkowa ludową. Na dowód mógłbym przytoczyć pieśni, które sam słyszałem w Normandyi, a których znakomita większość literackiego jest pochodzenia. W święta i uroczystości, dziewczyny tworzące korowód śpiewają tam utwory Ponsarda, nie rozumiejąc częstokroć ich znaczenia.

Romantyzmowi francuskiemu brakło więc tej drugiej podstawy żywotnej, jaką zdobył sobie u nas. Pieśni obrzędowe, łączące bezpośrednio poezję z życiem, wyobrażenia poetyczne gminne, nie podsycały go tu pierwiastkami prawdy realnej. U nas nadużywano niewątpliwie całego tego aparatu gminnego, mimo tego jednak nie przestał on być ogniwem, wiążącym lud z poezją, zatem życiową cechą tej ostatniej. We Francyi nowy kierunek nie zwrócił się wcale do ludu. Cóż mu więc pozostało? Oto średniowieczna tradycja, jej zamki, klasztory, rycerze, jej wybujały indywidualizm, uosobiony w postaciach istotnie romantycznych aż do zdziczenia, a następnie tworzenie wedle tych wzorów nowszych już postaci, równie zdziczałych, równie wyjątkowo przeciwstawiających się społeczeństwu, niby dla niego za wielkich,

a w gruncie rzeczy chorych na potworny rozrost własnego *ja*, wspaniałych, gdy się bierze z dobrą wiarą, śmiesznych, gdy wionie na nie wiatr sceptycyzmu.

Jeślić teraz zgodzimy się, że poezya szczera i prawdziwa ma przyłożyć ucho do piersi narodowej, podsluchać bicia serca ludu, pochwycić jego uczucia, porywy i tęsknotę ku temu, co na tym świecie lichym, płaskim, powszednim jest lepszem; jeślić zadanie jej jest osiągnąć tego, co nie jest dośpiewane i z rozproszonych w całym narodzie pajęczych nici marzeń i myśli utkać wielką a śliczną tkaninę poezyi — to trudno zaprzeczyć, że romantyzm francuski nie spełnił tego zadania. Był on niewątpliwie postępem, bo wywalczył swobodę dla ducha, rozkuł poezję z kajdan przepisów i wreszcie wprowadził do niej treść nową, o tyle wyższą od dawnej, że ta średniowieczna tradycja była bądź co bądź francuską, nie zaś grecką albo rzymską. Ale, z drugiej strony, rewolucya wykopała przepaść między tymi czasami a dzisiejszym wiekiem. Zmieniły się pojęcia, wyobrażenia, zmienił się duch narodu do tego stopnia, że postacie mnichów i rycerzy, pobudki ich uczuć, powody postępków stały się po prostu niezrozu-

miałymi. Rycerz średniowieczny ze swoją naiwną wiarą w świętych i czarowników, ze swoim ślepym zapalem do życia, ze swemi pojęciami o honorze, zemście, miłości i nienawiści i t. p., jest dziś postacią równie obcą, jak każdy klasyczny bohater.

Hernani jest anachronizmem. Dziś trzeba się do takich istot sztucznie nastrajać. Próba zatem tłómaczenia dzisiejszych uczuć i popędów poetycznych za pomocą tradycyi średniowiecznej nie udała się zupełnie. Jednocześnie, wybujały egotyzm tak zwanych dusz dzikich, jak również nieuznawanych i zbołałych bohaterów, których romantyzm tysiącami na tle nowszego już życia napłodził, nie mógł ostać się wobec ogólnego sceptycyzmu. Wszystko to, razem wzięte, sprawiło, że romantyzm francuski nie uczynił zadosyć poetycznym potrzebom wieku i narodu. Był i pozostał tylko kierunkiem, i dalej nie jakąś pieśnią z dwóch niewyczerpanych źródeł: serca i prawdy płynącą, ale przedmiotową sztuką, mającą swe przepisy i ograniczenia. Za wskazówkę, że tak jest, może posłużyć i to, że gdy nasz romantyzm, na szerszych, jak wspomniałem, podstawach oparty i bardziej przenarodowiony, chwycił przeważnie za

formę liryczną, jako najbardziej popularną, francuski brał szturmem głównie teatr. Po zaciętej walce zwyciężył, ale nie zapanował i obecnie coraz silniejszą budzi reakcyę.

Jest nią naturalizm, czyli zwrot do zwyczajnego codziennego życia, do realnych charakterów i do rzeczywistych stosunków. Zauważono, że życie, takie jak jest, podpatrzone tylko nieco głębiej, ma w sobie tyle zagadnień i swoich «być albo nie być», — nad niemi warto się zastanawiać. Sądzono, że sztuka, jeśli zwróci się w tę stronę, nie utraci ani jednego ze swoich efektownych środków działania, a uzyska nowe, nieodparty: prawdę. Powstała więc nowa szkoła, która jest w literaturze podobnie jak w malarstwie. Fantazja poszła w niej już nietylko pod straż prawdopodobieństwa i prawdy, ale poprostu rzeczywistości. Autorom chodziło i chodzi o to, aby przedewszystkiem malować wiernie, by łapać życie na gorącym niejako uczynku, a zadanie to wydało się tak pierwszorzędnem, że wobec niego pomysł, to jest zestawienie faktów i osób, czyli tak zwana bajka wraz ze swoim sensem moralnym, musiała ustąpić pierwszemu polu wykonaniu. Nie stawiano wpraw-

dzie tego jako warunku, ale w rzeczywistości w rozwoju dalszym tak wypadło. Zwrot ten uwydatnił się szczególnie w powieściopisarstwie, w którym też, począwszy od Balzaka i Stendhala, a skończywszy na Zoli i Dandecie, potężnych liczy przedstawicieli. Czy jednak klucz do Sezamu został przez to wynaleziony, a nowy wspaniały widnokrąg dla literatury odkryty? Trudno powiedzieć: tak! — również jak trudno byłoby twierdzić, że poza powszednim życiem niema już prawdy.

Dla powieści naturalizm był w zasadzie znakomitym, niezbędnym i może jedynym krokiem naprzód. Ale sama treść, nadająca się do jednej formy, nie nadaje się do drugiej. Co jest odpowiednim dla powieści, może nie być odpowiedniem dla poezyi. Jakoż niepodobna zaprzeczyć, że istnieje pewien rozbrat między treścią realnego życia a formą poezyi, pewien dysonans, dający się objaśnić tem, że sama forma poezyi, wiersz, rytm, rym, jest już czemś wyżej nastrojonem, niezwykłym i w stosunku do codziennego życia egzaltowaniem. Ludzie w zwykłych życiowych warunkach nie mówią rytmicznie, chcą więc mieć ich rzeczywistymi, a razem mówiącymi wierszem, jest takąż samą

sprzecznością formy z treścią, jaką widzimy w operze, gdy np. spiskowcy, zamiast szeptać, śpiewają. Dla poezyi więc nowy zwrot musiał być w najlepszym razie wskazówką, zasiłkiem, nigdy odrodzeniem i wstąpieniem na nową drogę. «Ty, labędzie, lataj pod niebem!» — mówił niegdyś do Pindara i o Pindarze Horacy. Jest przytem w masach ludzkich pewna suma dążeń i pragnień oderwania się od rzeczywistego życia, zapomnienia o niem. Doprawdy, pesymiści bardzo zbrzydzili ten świat, a rzeczywistość dopomaga codzien ich filozofii. Ta straszna rozterka między pragnieniem niepohamowaniem szczęścia a konieczną niedolą, między wysileniami życia a nieuchronną śmiercią, rodzi ogólny nastrój, w którym człowiek, zmęczony aż nadto życiem, radby, niech na chwilę, o niem zapomnieć i choć w poezyi znaleźć jakieś pierwiastki wieczne, a błogie i kojące. Tym to wołaniom dusz umęczonych, tym dążeniom i potrzebom, bardzo przecie naturalnym, bo wrodzonym, naturalizm literacki nie czyni zadość.

Co więcej, nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak jest: raz stanąwszy na gruncie rzeczywistości, stacza się łatwo, jakby po równi pochyłej, aż tam, gdzie rzeczywistość staje się pla-

skością, zaczyna wstydzić się każdego uniesienia i każdego porywu. Młodość, jej egzaltowane słowo, jej rumieniec zapału, bijący na twarz, jej skry w oku wydają mu się przesadą. Doprowadzony do krańców, a doprowadzony bywa wszędzie przez jakąś fatalną konieczność, staje się bardziej powszednim i sromotniejszym, niż życie samo. Zatraca się wówczas stopniowo trafny rzut oka na to, co jest prawdą piękną, a co obrzydliwą, i ogólny poziom literatury spada coraz niżej.

Tak stało się we Francyi. Romantyzm jej był zbyt jednostronnym, a naturalizm, o który dziś *Figaro* wydrapuje oczy panu Zoli, przebrał miarę estetyczną, zacieśnił dobrowolnie swoje granice i obniżył własne znaczenie. Weźmy powieść dzisiejszą fruncuską. Co za brak w niej rzeczywiście wszelkich wyższych idei, podnioślejszych myśli, szerszych pragnień, słowem wszystkiego, z czego się składa poważne i rozwinięte życie! Wojna, miecz, ogień sroży się nad krajem, a w powieści przyjaciel żonę mężowi bałamuci; cesarstwo rozpada się w gruzy, a przyjaciel żonę bałamuci; nastaje rzeczpospolita, walka partyi, korab narodowy, bity wichrami, chwieje się, przechyla, skrzypi, a przy-

jaciel żonę balamuci. Wieczny temat! wiecznie toż samo nędzne tuzinkowe życie! wiecznie ciż sami bohaterowie, z których każdy taki sobie pierwszy lepszy frant, dziesięć razy mniej wart nawet od swego autora, i wiarołomna dama, i rogaty mąż. O ile wyborna i pewna siebie faktura, o tyle uderzające ubóstwo myśli. Miłość — to odwieczne prawo, to siła życiowa, to dobroczynny geniusz naszego globu: zgoda! Przez nią chaos stał się porządkiem, przez nią kwitną kwiaty, zielenią się drzewa, utrzymują gatunki, rozwija ludzkość, promienieją sztuki piękne, rozegrywa się życie: ani słowa! To naj-silniejsze i najstarsze z praw natury może zła-mać wszystkie inne, wszystkie sztuczne więzy i przeszkody. Można przeciw tej sile mówić, ale oprzeć się jej niepodobna: ona usprawiedli-wia i okupuje wszystko, ale to tylko wielka, dogrobowa i niezłamana miłość. Tak ją uważać i uświęcać sztuka i literatura ma prawo. Ale w literaturze francuskiej jej nie ma. Istnieje tyl-ko romans. Bohaterowi powieściowemu do gło-wy nawet nie przychodzi powiedzieć uwiedzio-nej kobiecie: «Jeśli mnie kochasz, to bądź moją na zawsze, zerwij z mężem, ze światem, ze wszystkim i pójdź ze mną!» Jeśli się komu zda-

rzy szczęście rozkochać kobietę, a nieszczęście, że ta kobieta jest cudzą żoną, taki człowiek uczciwiej zapewne robi i prawdziwiej kocha, gdy zajrzawszy mężowi w białka oczu, powie mu: «Kocham pańską żonę, zatem nie mogę być pańskim przyjacielem!» Miłość idzie wtedy na cenę życia, zatem jest uczuciem prawdziwie drogiem, silnem jak burza, zatem usprawiedliwiającem. Mniejsza, jak się dramat skończy, ale dramat dramatem. Że jednak w życiu tak się nie dzieje, że wygodniej jest kochać się w sekrecie, potem się sobie sprzykrzyć i pójść «każde w swoją drogę» bez hałaśliwych zajęć z mężem, że to się częściej zdarza, a przeciwne postępowanie byłoby egzaltacją — więc powieść francuska realna przyjmuje tylko romans, opisuje i wysławia tylko romans.

Jakże niesłuchanie mało jest wyjątków od tego ogólnego prawidła! jakże mało kto wychodzi z tego lichego i płaskiego kółka stosunków towarzyskich i konwencyonalnych, w których rozegrywa się głównie wiarołomstwo! Do niko go z równą słusnością, jak do większości autorów francuskich, nie możnaby przystosować słów:

»Jego myślą, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka;
Nie pomyśli jego słowa,
Skier nie weźmie z jego oka«.

Mówią o owem wiarołomstwie i jego marnem tle, że jest to umyślne kładzenie palca na ranę społeczną. Nie prawda! Jest to lubowanie się w kwestyi. Cóż u licha! czy niema już o czem lepszem do mówienia? W społeczeństwie więcej jest ran ważniejszych, o których się nie wspomina, a o tej mówi każda powieść, bo ten jałowy grunt dostarcza pola do opisów, do uderzających realizmem opowiadań, do łapania trafnego charakterów i temperamentów. Odrodzone dziś do pewnego stopnia stronnictwo republikańskie lepsze jest pod tym względem od swej literatury, bo w niem są przecież prócz uwiedzionych lub uwieść się mających mężatek, jeszcze i inne kobiety, a przedewszystkiem jeszcze inne idee. Jest oto zaraz głuche jakieś przekonanie, że poezya i powieść muszą się zmienić: pierwsza stać się pieśnią narodu, druga wyleźć raz przecie z pod małżeńskiego łóżka; jest jakieś instynktowe poczucie potrzeby, aby cała literatura piękna, zatem cała litera-

tura twórcza weszła na inne drogi, wzięła rozbrat ze zdziczałym egotyzmem, z romansem, a wsiąknęła w siebie nowe myśli i nowe idee, wielkie a godne odradzającego się narodu. Tyle przecie nowych pojęć politycznych, społecznych i filozoficznych krąży w powietrzu. Pojmuje je rozum, i stąd rodzi się nauka, ale odczuwa serce, i z tych uczuć może wykwitnąć odrodzona literatura. Jak się to stanie i kiedy? — trudno powiedzieć. Czują jednak ludzie, że to, co jest, nie wystarcza. Jedni sądzą, że tę reformę zbawienną przeprowadzi właśnie powrócony na szlachetne drogi naturalizm, i w Zoli, który więcej od innych zwrócił się do społecznych zagadnień, widzą, jeśli nie odkupiciela, to przynajmniej poprzednika, prostującego drogi Pańskie. Inni nic nie widzą; wszyscy czekają czegoś, a tymczasem biegna, gdzie można słowo nowe usłyszeć, oblegają katedrę filozoficzną pana Caro i literacką Albert'a; zajmują się sprawami literackimi, spierają się sami, wołają o światło.

Wśród tego zamętu nieskrystalizowanych pojęć, wśród tych zapytań: dokąd iść? — i tego gwaru gonitwy za nieoznaczonym jeszcze ideałem, białowłose ojciec romantyzmu, osiwiwały

bard z Guernesey kładzie od czasu do czasu krzepnące palce na harfę. Słuchają go! Palce stare i harfa może za stara, ale on jeden przynajmniej nie bał się nigdy wielkich idei.

KOMEDYA Z POMYŁEK

Szkic z życia amerykańskiego

W S T Ę P.

Wypadek, który posłużył mi za przedmiot do niniejszego szkicu, podobno zdarzył się istotnie w jednym z amerykańskich miasteczek. Czy zdarzył się on na wschodzie, czy na zachodzie, nie mogłem się dopytać, i naprawdę nic nikomu na tem nie zależy. Być może także, że jaki nowelista amerykański lub niemiecki skorzystał już z niego poprzednio, co według mego zdania, powinno być równie obojętne dla czytelników, jak i kwestya miejscowości.

Korzystając ze swobody autorskiej, opowiadam rzecz, jakoby się działa w Kalifornii; przytem będę się starał podać kilka charakterystycznych rysów z tutejszego małomiejskiego życia.

Zdarzyło się przed pięciu lub sześciu laty, że w hrabstwie Marypoza odkryto w pewnej

miejscowości źródła nafty. Ogromne zyski, jakie kopalnie podobne przynoszą w Newadzie i w innych Stanach, skłoniły zaraz kilku przedsiębiorców do zawiązania towarzystwa, z celem wyzyskiwania nowo odkrytych źródeł. Sprowadzono rozmaite maszyny, pompy, dźwignie, drabiny, beczki i beczułki, świdry i kotły; pobudowano domy dla robotników, ochrzczono miejscowość *Struck Oil*, i, po niejakiem czasie, w okolicy pustej i bezludnej, którą przed rokiem zamieszkiwały tylko kujoty, stanęła osada, złożona z kilkudziesięciu domów i zamieszкана przez kilkuset robotników.

We dwa lata później, *Struck Oil* nazywało się już *Struck Oil city*. Jakoż było to już «city» w całym znaczeniu tego wyrazu. Proszę zauważyć, że mieszkał tu już szewc, krawiec, cieśla, kowal, rzeźnik i doktor Francuz, który w swoim czasie, we Francyi, brody golił, ale zresztą człowiek «uczony» i nieszkodliwy, co już w amerykańskim doktorze znaczy bardzo wiele.

Doktor, jak się najczęściej zdarza po małych miasteczkach, trzymał zarazem aptekę i pocztę; miał więc potrójną praktykę. Aptekarzem był równie nieszkodliwym, jak doktorem, albowiem w aptece jego można było dostać tylko dwóch

lekarstw: syropu cukrowego i leroa. Cichy ten i łagodny staruszek mawiał zwykle swoim pacjentom:

— Nie obawiajcie się nigdy moich lekarstw. Mam zwyczaj, że gdy choremu daję lekarstwo, sam zawsze zażywam taką samą dawkę, bo rozumiuję sobie, że jeśli ono mnie zdrowemu nie zaszkodzi, to nie zaszkodzi i choremu. Czy nie prawda?

— Prawda! — odpowiadali zaspokojeni obywatele, którym nie przychodziło jakoś na myśl, że obowiązkiem doktora jest nie tylko nie zaszkodzić choremu, ale pomódz.

Pan Dasonville — tak się nazywał doktor — wierzył jednak szczególnie w cudowne skutki leroa. Nieraz na mityngach, zdejmował kapełusz z głowy i zwracając się do publiczności, mówił:

— Panowie i panie! przekonajcie się, co to jest leroa! Mam lat siedemdziesiąt; czterdzieści lat, jak zażywam codziennie leroa, i patrzcie: nie mam ani jednego siwego włosa na głowie.

Panie i panowie mogliby znowu zauważyć, że doktor nie miał wprawdzie ani jednego siwego włosa, ale nie miał też żadnego, bo głowa jego była łysa, jak klosz lampy. Ale że uwagi

podobne w niczem nie przyczyniłyby się do wzrostu Struck Oil city, nie robiono więc ich wcale.

Tymczasem Struck Oil city rosło i rosło. Po upływie dwóch lat, przeprowadzono do niego odnogę kolei żelaznej. Miasto już miało swoich urzędników wybieralnych. Doktor, którego lubiono powszechnie, został, jako przedstawiciel inteligencji, sędzią; szewc, Żyd polski, mister *Devis* (Dawid) szeryfem, to jest naczelnikiem policyi, która składała się z szeryfa i z nikogo więcej; pobudowano szkołę, której kierunek objęła umyślnie sprowadzona «School Malam», przedwieczna dziewica, mająca wieczną fluksyę; nakoniec stanął pierwszy hotel pod nazwą: «United States Hotel».

«Business» ożywił się także niezmiernie. Wywóz nafty przynosił piękne zyski. Zauważono, że mister *Devis* kazał pobudować przed swoim składem wystawkę szklaną, podobną do tych, jakie zdobią sklepy szewskie w San-Francisco. Na następnym mityngu obywatele złożyli publiczne podziękowanie panu *Devis* za tę «nową ozdobę miasta», na co mister *Devis* odpowiedział ze skromnością wielkiego obywatela: *Thank you! thank you! Oj wey!*

Gdzie jest sędzia i szeryf, tam bywają spra-

wy. Wymaga to pisaniny i papieru, zatem na rogu Cojotesstreet i 1-szej powstało *stationery*, to jest skład papieru, w którym sprzedawano także dzienniki polityczne i karykatury, przedstawiające Granta w postaci chłopca dojącego krowę, ta zaś z kolei miała przedstawiać Stany Zjednoczone. Obowiązki szeryfa nie nakazywały mu wcale wzbraniać sprzedaży podobnych rycin, bo to do policyi nie należy.

Ale nie koniec jeszcze na tem. Miasto amerykańskie nie może żyć bez dziennika; po upływie więc roku drugiego, powstało pismo pod tytułem: *Saturday Weekly Review* (Przegląd Sobotni Tygodniowy), liczące tylu prenumeratorów, ilu było mieszkańców w Struck Oil city. Redaktor tego dziennika był zarazem jego wydawcą, drukarzem, administratorem i roznosicielem. Ten ostatni obowiązek przychodził mu tem łatwiej, że, prócz tego, trzymał krowy i każdego rana musiał roznosić mleko po domach. Nie przeszkadzało mu to zresztą wcale rozpoczynać wstępnych artykułów politycznych od słów: «Gdyby nasz podły prezydent Stanów Zjednoczonych poszedł za radą, której udzieliłszy mu w zeszłym numerze» i t. d.

Nie brakło więc, jak widzimy, niczego w blo-

gosławionem Struck Oil city. Prócz tego, ponieważ górnicy, trudniący się wydobywaniem nafty, nie odznaczają się ani gwałtownością, ani grubymi obyczajami, cechującymi poszukiwaczy złota, było więc w mieście spokojnie. Nikt z nikim się nie pobił, o *lynchu* ani było słyhać; życie płynęło spokojnie, jeden dzień był podobny do drugiego, jak dwie krople wody. Rankiem każdy zajmował się *businessem*, wieczorem obywatele palili śmiecie na ulicach, i, jeśli nie było mityngu, szli spać, wiedząc, że jutro także będą palili śmiecie wieczorem.

Jedynym kłopotem szeryfa było to, że nie mógł oduczyć obywateli od strzelania z karabinów do dzikich gęsi, przelatujących wieczorami nad miastem. Prawa miejskie zabraniają strzelać na ulicach. «Żeby to była jaka parszywa miejscina, — mawiał szeryf — no, to nie mówię, ale w takim wielkim mieście pif! paf! pif! paf! to jest bardzo niepięknie».

Obywatele słuchali, kiwali głowami, odpowiadali: *O yes!* — ale gdy wieczorem na zarumienionem niebie zjawily się białe i szare sznury, ciągnące z gór nad ocean, każdy zapominał o przyrzeczeniu, porywał karabin, i strzelanina rozpoczynała się na dobre.

Pan Devis mógł wprowadzić każdego winnego do sędziego, a sędzia mógł go ukarać pieniężnie, ale nie trzeba było zapominać, że winni byli zarazem w razie choroby pacjentami doktora, a w razie podarcia trzewików gośćmi szeryfa; że zaś ręka rękę myje, więc ręka ręce nie robi krzywdy.

Było więc spokojnie w Struck Oil city, jak w niebie; nagle jednak skończyły się te piękne dni.

Grocernik zapłonął śmiertelną nienawiścią do grocerniczki, a grocerniczka do grocernika.

Tu potrzeba może objaśnić, co w Ameryce nazywa się *grocery*. Grocery tedy, czyli grocemia, jest to sklep sprzedający wszystko. Można tam dostać mąki, kapeluszy, cygar, miotł, guzików, ryżu, sardynek, koszul, słoniny, nasion, bluz, spodni, szkieł do lamp, siekier, sucharków, talerzy, papierowych kołnierzyków, suszonych ryb, słowem wszystkiego, czego człowiek może zapotrzebować. Z początku była tylko jedna grocemia w Struck Oil city. Trzymał ją Niemiec, imieniem Hans Kasche. Był to sobie flegmatyczny Niemiec, rodem z Prus; miał lat trzydzieści pięć i wylupiąste oczy; nie był otyły, ale dość zażywny; chodził zawsze bez surduta i fajki

nigdy nie wypuszczał z zębów. Po angielsku umiał tyle, ile potrzeba było do *businessu*, zresztą ani w ząb. Handel jednak prowadził dobrze, tak, że po roku mówiono już w Struck Oil city, że «był wart» kilka tysięcy dolarów.

Nagle jednak zjawila się druga grocernia.

I, dziwna rzecz! Pierwszą trzymał Niemiec, drugą założyła Niemka. *Kunegunde und Eduard, Eduard und Kunegunde!* Zaraz tedy zapoczęła się między obiema stronami wojna, a rozpoczęła się od tego, że panna Neuman, czyli, jak się sama nazywała «Niumen», dała na powitalny *lunch* placki pieczone, z mąki pomieszaney z sodą i alunem. Byłaby tem zaszkodziła najwięcej samej sobie w opinii obywateli, gdyby nie to, iż sama utrzymywała i stawiała świadków, że ponieważ jej mąka nie była jeszcze rozpakowana, więc tę kupiła od Hansa Kasche. Wyszło więc na to, że Hans Kasche jest zazdrośnik i nikczemnik, który zaraz z początku chciał zgubić swoją rywalkę w opinii publicznej. Zresztą było do przewidzenia, że dwie grocernie będą rywalizowały z sobą, ale nikt nie przewidywał, że rywalizacya przejdzie w straszną nienawiść osobistą. Nienawiść ta posunęła się wkrótce do tego stopnia, że Hans palił śmiecie tylko wtedy,

gdy wiatr wiewiał dym do sklepu jego przeciwniczki; przeciwniczka zaś nie nazywała inaczej Hansa, tylko «Doczmen» (Niemiec), co tenże poczytywał sobie za największą obelgę. Z początku mieszkańcy śmieli się z obojga, tembardziej, że żadne nie umiało po angielsku; powoli jednak, skutkiem codziennych stosunków z grocerniami, wytworzyły się w mieście dwie partye, Hansistów i Neumanistów, które poczęły patrzeć na siebie krzywem okiem, co mogło zaszkodzić szczęściu i spokojności rzeczypospolitej Struck Oil city i sprowadzić groźne na przyszłość zawikłania. Głęboki polityk, mr. Devis, pragnął leczyć zło u źródła, więc starał się pogodzić Niemkę z Niemcem. Bywało nieraz, stanie na środku ulicy i mówi do nich rodowitym językiem:

— No! co się będziecie klócić? Czy to nie u jednego szewca kupujecie trzewiki? Mam teraz takie, że w całym San - Francisco niema lepszych.

— Próżno chwalić trzewiki przed tym, który niezadługo będzie bez butów chodził! — przerywała kwaśno panna Neuman.

— Ja nie robię sobie kredytu nogami — odpowiadał flegmatycznie Hans.

A trzeba było wiedzieć, że panna Neuman, chociaż Niemka, miała istotnie piękne nogi; więc takie przycinki napępniały jej serce śmiertelnym gniewem.

W mieście dwie partye poczęły już i na mityngach poruszać sprawę Hansa i panny Neuman; ponieważ jednak w Ameryce nikt w sprawie z kobietą nie znajdzie sprawiedliwości, większość więc przechyliła się na stronę panny Neuman.

Wkrótce Hans obejrzał się, że jego grocernia zaledwie mu się oplaca.

Ale i panna Neuman nie robiła zbyt świetnych interesów, bo znowu wszystkie kobiety z miasta trzymały stronę Hansa; zauważyły bowiem, że ich mężowie zbyt często robią sprawunki u pięknej Niemki i za każdym sprawunkiem siedzą za długo.

Gdy nikogo nie było w żadnym ze sklepów, Hans i panna Neuman stawali we drzwiach, jedno naprzeciw drugiego, rzucając sobie wzajem spojrzenia pełne zajadłości. Panna Neuman śpiewała wówczas sobie na nutę *Mein lieber Augustin*:

— *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men!*

Pan Hans patrzył na jej nogi, potem na figurę, potem na twarz z takim wyrazem, z jakimby patrzył n. p. na zabitego przed miesiącem kujota; potem, wybuchnąwszy piekielnym śmiechem, wykrzykiwał:

— *By God!*

Nienawiść w tym flegmatycznym człowieku doszła do tego stopnia, że gdy rano ukazał się przed drzwiami, a panny Neuman nie było, kręcił się, jakby mu czego brakło.

Dawno już przyszyłoby między nimi do pewnych zejść czynnych, gdyby nie to, iż Hans był pewny przegranej w każdej urzędowej sprawie, a to tembardziej, iż panna Neuman miała za sobą redaktora *Saturday Weekly Review*. Hans przekonał się o tem, gdy rozpuścił wieść, że panna Neuman nosi biust sztuczny. Było to nawet prawdopodobne, bo w Ameryce zwyczaj to powszechny. Na następny tydzień jednak w *Saturday Weekly Review* zjawił się piorunujący artykuł, w którym redaktor, mówiąc ogólnie o potwarzach «Doczmenów», kończył zapewnieniem uroczystem, jako «dobrze poinformowany», że biust pewnej spotwarzonej lady jest prawdziwy.

Odtąd pan Hans pijał co rano czarną kawę

zamiast białej, nie chciał bowiem brać już mleka od redaktora, ale za to panna Neuman brała stale dwie porceye. Prócz tego kazała sobie uszyć krawcowi suknię, której forma stanika przekonała ostatecznie wszystkich, że Hans był potwarcią.

Hans, wobec chytrłości niewieściej, uczuł się bezbronnym; a tymczasem Niemka, stając przed sklepem każdego ranka, śpiewywała coraz głośniej:

— *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men.*

— Co ja jej mogę zrobić? — myślał Hans. — Mam zatrutą pszenicę na szczury, choćbym też jej kury wytrul? Nie! Kazać mi zapłacić! Ale wiem co zrobić.

I wieczorem panna Neuman, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, spostrzegła pana Hansa, znośzącego pęki dzikich słoneczników i układającego je, jakoby w ścieżkę pod zakratowanem okienkiem piwnicy. «Ciekawam, co to będzie — myślała sobie: — pewno coś przeciw mnie!» — A tymczasem ściemniło się. Pan Hans ułożył słoneczniki we dwie linie, tak, że środkiem tylko zostawała wolna droga do okienka piwnicy; potem wyniósł jakiś przedmiot okryty płótnem,

obrócił się plecami do panny Neuman, płótno z tajemniczego przedmiotu zdjął, pokrył go liśćmi ze słoneczników, następnie zbliżył się do muru i począł kreślić na nim jakieś litery.

Panna Neuman umierała z ciekawości.

— Pewno na mnie coś pisze — myślała; — ale niech tylko wszyscy spać pójda, pójde zobaczyć, choćbym miała skonać.

Hans, skończywszy robotę, poszedł na górę i wkrótce zagasił światło. Wówczas panna Neuman zarzuciła naprędce na siebie szlafroczek, wdziała pantofle na gołe nogi i dalejże przez ulicę. Doszedłszy do słoneczników, szła prosto ścieżką do okienka, chcąc przeczytać napis na ścianie. Nagle oczy jej wyszły na wierzch, rzuciła się wierzchnią połową ciała wstecz, a z ust wyrwało jej się bolesne: «Aj! aj!» — potem zaś rozpaczliwy okrzyk: «Ratunku! ratunku!!!»

Okno na górze podniosło się do góry.

— *Was ist das?* — rozległ się spokojnie głos Hansa. — *Was ist das?*

— Doczmenie przekłety! — wrzeszczała panna — zamordowałeś mnie, zgubiłeś! Jutro będziesz wisiał. Ratunku! ratunku!

— Zaraz schodzę — rzekł Hans.

Jakoż po chwili ukazał się ze świecą w ręku.

Spojrzał na pannę Neuman, która stała jak przygwożdżona do ziemi, poczem wziął się pod boki i począł się śmiać:

— Co to? To panna Neuman? Ha! ha! ha! Dobry wieczór pannie! Ha! ha! ha! Zastawilem żelaza na skunksy, a złapałem pannę! Pocoś panna przyszła zaglądać do mojej piwnicy? Umyślnie napisałem na ścianie ostrzeżenie, żeby się nie zbliżać. Krzycz teraz panna; niech się ludzie zlecą; niech wszyscy widzą, że nocami przychodzisz zaglądać do piwnicy Doczmena. *O mein Gott!* krzycz, ale postój sobie aż do rana. Dobranoc pannie, dobranoc!

Położenie panny Neuman było okropne. Krzyczeń? ludzie się zleca: kompromitacya! Nie krzyczeń? stać całą noc złapana w żelaza, a na drugi dzień dać z siebie widowisko?... A tu noga boli coraz bardziej... W głowie jej się zakręciło, gwiazdy pomieszały się ze sobą, księżyc ze złowrogą twarzą pana Hansa... Zemdląła.

— *Herr je!* — wykrzyknął do siebie Hans: — jeśli umrze, to jutro zlynczują mnie bez sądu.

I włosy powstały mu na głowie ze strachu.

Nie było rady. Hans poszukał czempredzej klucza, aby otworzyć żelazo, ale nie łatwo było otworzyć, bo przeszkadzał mu szlafrok panny

Neuman. Trzeba było go trochę zwinąć, i... mimo całej nienawiści i strachu, Hans nie mógł się wstrzymać od rzucenia oczyma na piękne, jak gdyby marmurowe, nóżki swej nieprzyjaciółki, oświetlone blaskiem czerwonego miesiąca.

Mógłby ktoś powiedzieć, że w nienawiści jego była teraz litość. Otworzył prędko żelaza, a że panna nie poruszała się jeszcze, więc wziął ją na ręce i zaniósł prędko do jej mieszkania. Po drodze znów czuł litość. Potem wrócił do siebie i całą noc nie mógł oka zmrużyć.

Nazajutrz panna Neuman nie zjawiała się przed swoją grocernią w celu śpiewania: *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen...* Może się wstydziła, a może knuła w milczeniu zemstę.

Pokazało się, że knuła zemstę. Wieczorem tegoż jeszcze dnia, redaktor *S. W. Review*, wyzwał Hansa na kulaki i, zaraz na początku walki, podbił mu oko. Hans jednak, przywieziony do rozpacz, zadał mu tyle straszliwych ciosów, że po krótkim daremnym oporze, redaktor padł jak długi, wołając: *Enough! enough!* (dosyć! dosyć!)

Niewiadomo jakim sposobem, bo nie przez Hansa, całe miasto dowiedziało się o wypadku nocnym panny Neuman. Po walce z redakto-

rem, w sercu Hansa znowu zniknęła litość dla nieprzyjaciółki, a pozostała tylko nienawiść.

Hans przeczuwał, że go spotka jakiś niespodziewany cios z nienawistnej ręki, jakoż nie długo nań czekał. Właściciele grocerni przylepiają często przed sklepami ogłoszenia o rozmaitych towarach, zatytułowane zwykle «*Notice*». Z drugiej strony trzeba wiedzieć, że grocernie sprzedają zwykle szynkom lód, bez którego żaden Amerykanin nie pije ani whisky, ani piwa. Otóż nagle Hans zauważył, że przestano brać u niego lód zupełnie. Ogromne kawały, które sprowadził koleją, złożone w piwnicy, stopniały; szkody było na kilkanaście dolarów. Dlaczego? jak? co? Hans widział, że nawet jego stronnicy brali codziennie lód u panny Neuman; nie rozumiał więc, co się to znaczy, tem mniej, że się z żadnym szynkarzem nie pogniwał.

Postanowił tę rzecz wyjaśnić.

— Dlaczego nie bierzecie ode mnie lodu? — spytał łamaną angielszczyzną szynkarza Petersa, który właśnie przechodził koło jego sklepu.

— Bo go nie trzymacie.

— Jakto, nie trzymam?

— No, bo ja wiem!

— *Aber* ja trzymam lód.

— A to co? — rzekł szynkarz, wskazując palcem ogłoszenie, przylepione na domu.

Hans spojrział i zzieleniał ze złości. W jego ogłoszeniu ktoś w wyrazie «*Notice*» wydrapał *t* ze środka, skutkiem czego z «*Notice*» zrobiło się «*No ice*», co po angielsku znaczy: niema lodu.

— *Donnerwetter!* — wykrzyknął Hans i cały siny i drżący wpadł do sklepu panny Neuman.

— To jest nikczemność! — krzyczał zapieniony. — Czemuś mi panna wydrapała literę ze środka?

— Com panu wydrapała ze środka? — spytała z głupia-frant panna Neuman.

— Literę mówię: *t*, mówię! Wydrapałaś mi panna *t*! *Aber goddam!* to nie może być dłużej. Panna mi musisz zapłacić za lód! *Goddam! goddam!*

I straciwszy zwykłą zimną krew, poczał wrzeszczeć jak opętany, na to panna Neuman w krzyk. Ludzi się nazlatywało.

— Ratujcie! — wołała panna Neuman. — Doczmen zwaryował! Mówi, że mu coś wydrapała ze środka, a ja mu nic nie wydrapałam. Com mu miała wydrapać? nic nie wydrapałam! O! na Boga! wydrapałabym mu oczy, gdybym

mogła, ale nic więcej. Ja biedna kobieta, sama!... On mnie tu zabije, zamorduje!

Tak krzycząc, zalała się rzewnymi łzami. Amerykanie nie zrozumieli wprawdzie o co chodzi, ale Amerykanie nie znoszą łez kobiecych, więc Niemca za łeb i za drzwi. Chciał się opierać: gdzie tam! wyleciał jak z procy, przeleciał przez ulicę, wleciał we własne drzwi i upadł jak długi.

W tydzień potem, nad sklepem jego wisiał ogromny malowniczy szyld. Szyld wyobrażał małpę, ubraną w pasiastą sukienkę, biały fartuszek z naramiennikami: słowem, zupełnie jak panna Neuman. Pod spodem stał napis wielkimi żółtymi literami:

«Grocernia pod małpą».

Ludzi naschodziło się oglądać. Śmiechy wywabiły pannę Neuman przede drzwi. Wyszła, spojrzała, zbladła, ale nie straciwszy przytomności, zawołała zaraz:

— Grocernia pod małpą? Nic dziwnego, bo pan Kasche mieszka nad grocernią. Ha!

Cios jednak trafił ją w serce. W południe słyszała, jak tłumy dzieci, przechodząc koło sklepów ze szkoły, zatrzymywały się przed szyldem, wołając:

— *O! that's miss Neuman! Good evenig, miss Neuman!*

Tego było zanadto. Wieczorem, gdy przyszedł do niej redaktor, rzekła mu:

— Ta małpa to ja! wiem, że ja, ale nie daruję swego. Musi on zdjąć i zlizać tę małpę własnym językiem przy mnie.

— Co panna chcesz robić?

— Idę zaraz do sędziego.

— Jakto zaraz?

— Jutro.

Rankiem wyszła i, zbliżywszy się do Hansa, rzekła:

— Słuchaj, panie Doczmenie! wiem, że ta małpa to ja, ale pójdź-no ze mną do sędziego. Zobaczymy, co on na to powie.

— Powie, że wolno mi malować nad moim sklepem, co mi się podoba.

— Zobaczymy to zaraz.

Panna Neuman ledwo mogła oddychać.

— A skąd panna wie, że ta małpa to panna?

— Sumienie mi to mówi. Pójdź, pójdź do sędziego, a nie, to cię szeryf w kajdanach zaprowadzi.

— Dobrze, pójdę — rzekł Hans, pewny wygranej.

Poprzymykali sklepy i poszli, wymyślając sobie po drodze. Dopiero przy samych drzwiach sędziego Dasonvilla przypomnieli sobie, że oboje nie umieją dość po angielsku, aby sprawę wytłumaczyć. Co tu robić? Ot szeryf, jako Żyd polski, umie i po niemiecku i po angielsku. Dalejże do szeryfa.

Ale szeryf siedział właśnie na wozie i zabierał się do wyjazdu.

— Idźcie do *devil!* — krzyknął prędko. — Całe miasto przez was niespokojne! Chodźcie w jednych trzewikach po całych latach! Ja jadę po «*lumber*». *Good bye!*

I pojechał.

Hans wziął się pod boki.

— Musisz panna czekać do jutra — rzekł flegmatycznie.

— Ja mam czekać? Pierwej umrę. Chyba, że zdejmiesz pan małą.

— Nie zdejmę mały.

— To będziesz pan wisiał! Będziesz wisiał, Doczmenie! Obejdzie się i bez szeryfa. Sędzia i tak wie, o co nam chodzi.

— A to pójdźmy i bez szeryfa — rzekł Niemiec.

Panna Neuman myliła się jednak. Jeden tylko

sędzia w całym mieście nie wiedział ani słowa o ich klótniach. Bogu ducha winien, staruszek przyrządzał swoje leroa, i zdawało mu się, że świat zbawia.

Przyjął ich, jak zwykle przyjmował każdego, z dobrocią i grzecznie:

— Pokażcie języki, moje dzieci!... — rzekł. — Zapiszę wam tu zaraz...

Oboje zaczęli machać rękoma na znak, że nie chcą lekarstw. Panna Neuman powtarzała:

— Nie tego potrzeba, nie tego!

— Więc czego?

Gadali jedno przez drugie. Co Hans słowo, to panna dziesięć. Nareszcie Niemka wpadła na koncept pokazać na serce, na znak, że je pan Hans przebił siedmiu mieczami.

— Rozumiem! rozumiem teraz! — rzekł doktor.

Poczem otworzył książkę i jął pisać. Spytał Hansa: ile ma lat? — Trzydzieści sześć. Spytał panny — nie pamiętała dokładnie: tak coś koło dwudziestu pięciu. *All right!* Jakie są ich imiona? — Hans — Lora. *All right!* Czem się trudnią? — mają grocernie. *All right!* Potem jeszcze jakieś pytania. Nie zrozumieli oboje, ale

odpowiadali *yes*. Doktor kiwnął głową. Wszystko skończone.

Skończywszy pisać, wstał i nagle, ku wielkiemu zdziwieniu Lory, objął ją wpół i pocałował.

Wzięła to sobie za dobrą wróżbę i pełna różowych nadziei, poszła do domu.

Po drodze powiada do Hansa:

— Ja panu pokażę!

— Pokażesz panna komu innemu! — odparł spokojnie Niemiec.

Nazajutrz rano przyszedł szeryf przed sklepy. Oboje stali przede drzwiami. Hans pykał fajkę, panna śpiewała:

— *Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men.*

— Chcecie iść do sędziego? — spytał szeryf.

— Jużśmy byli.

— No i co?

— Mój szeryfku! mój panie Dewisku! — zawołała panna: — pójďte się dowiedzieć. Potrzebuję właśnie trzewików. A przemówcie tam za mną słówko do sędziego. Widzicie, ja biedna dziewczyna... sama...

Szeryf poszedł i w kwadrans wrócił. Ale wiadomo dlaczego wrócił otoczony tłumem ludzi.

— No co? no jak? — poczęli wypytywać oboje.

— Wsistko dobrze, oh! — rzekł szeryf.

— No, co sędzia zrobił?...

— Ny, co miał złego zrobić? On was po-
żenił.

— Pożenił?!!!

— Albo to się ludzie nie żenią?

Żeby piorun nagle trząsł, Hans i panna Neu-
man nie przeraziliby się do tego stopnia. Hans
wytrzeszczył oczy, otworzył usta, wywiesił ję-
zyk i spoglądał jak głupi na pannę Neuman,
a panna Neuman wytrzeszczyła oczy, otworzyła
usta, wywiesiła język i spoglądała jak głupia
na pana Hansa. Oslupieli, skamienieli. Potem
oboje w krzyk:

— Ja mam być jego żoną!?

— Ja mam być jej mężem!?

— Gwałtu! gwałtu! Nigdy! Zaraz do roz-
wodu! Ja nie chcę!

— Nie, to ja nie chcę!

— Pierwej umrzeć! gwałtu! Rozwód, rozwód,
do rozwodu! Co to się dzieje!

— Moi kochani, — rzekł spokojnie szeryf —
co tu pomoże krzyk?... Sędzia daje ślub, ale sę-
dzia nie daje rozwodu. Na co krzyczeć? Czy to

wy milionerzy z San - Francisko, żebyście brali rozwód? Czy wy nie wiecie co to kosztuje? Aj! Co tu krzyczeć? Mam piękne trzewiki dzieciinne, tanio sprzedaję! *Good bye!*

To rzekłszy, odszedł. Ludzie, śmiejąc się, porozchodzili się także; nowożeńcy pozostali sami.

— To ten Francuz — wykrzyknęła panna mężatka — naumyślnie nam to zrobił, bośmy Niemcy!

— *Richtig* — odpowiedział Hans.

— Ale pójdziemy do rozwodu!

— Ja pierwszy! pannaś mi wydrapała *t* ze środka!

— Nie! ja pierwsza! panieś mnie w żelaza złapał.

— Ja panny nie chcę.

— Ja pana nie cierpię.

Porozchodzili się i pozamykali sklepy. Ona siedziała u siebie, rozmyślając cały dzień, on u siebie. Przyszła noc. Noc przynosi spokój. Oboje jednak nie mogli myśleć o śnie. Położyli się, ale oczy im się nie kleiły. On myślał: «Tam śpi moja żona». Ona: «Tam śpi mój mąż!» — I dziwne jakieś uczucia rodziły im się w sercach. Była to nienawiść, gniew w połączeniu

z poczuciem samotności. Prócz tego pan Hans myślał o swojej malpie nad sklepem. Jak ją tu trzymać, kiedy to teraz karykatura jego żony? I wydało mu się, że zrobił bardzo brzydką rzecz, kazawszy wymalować tę malpę. Ale znowu ta panna Neuman! Przecie on jej nienawidzi. To przez nią łód jego stopniał. On ją przecie złapał po księżycu w żelaza. Tu znowu na myśl przyszły mu owe kształty, widziane przy blasku księżycy. «No, co prawda, to ona tęga dziewczyna (myślał). Ale ona mnie nie cierpi i ja jej». Oto położenie! Ach, *Herr Gott!* Ożenił się? I z kim? z panną Neuman! A tu rozwód tyle kosztuje! cała grocergia nie starczy!

— Ja jestem żoną tego Doczmena — mówiła sobie panna Neuman. — Ja już nie panna... to jest chciałam powiedzieć: panna, ale poszłam za męża! Za kogo? Za Kaschego, który mnie złapał w żelaza. Prawda i to... że wziął mnie wpół i odniósł na górę. A jaki mocny! Ot! tak sobie wziął mnie wpół... Co to jest?... tu jakiś szelest?

Szelestu nie było żadnego, ale panna Neuman poczęła się bać, choć poprzednio nigdy się nie bała.

— Gdyby on jednak ośmielił się teraz... Boże!

Potem jednak dodała głosem, w którym brzmiała dziwna jakaś nuta rozczarowania:

— Ale on się nie ośmieli... On...

Z tem wszystkiem bojaźń jej wzmagala się. «To tak zawsze kobiecie samej! — myślała dalej, — Gdyby tu był jaki mężczyzna, byłoby bezpieczniej. Słyszałam o jakichś zabójstwach w okolicy (o zabójstwach panna Neuman nie słyszała). Przysięgam, że mnie tu kiedy zabiją. Ach, ten Kasche! ten Kasche! zamknął mi drogę. Trzeba jednak naradzić się o rozwodzie».

Tak myśląc, przewracała się bezsennie po szerokiem amerykańskiem łóżu i istotnie czuła się bardzo samotną. Nagle zerwała się znowu. Tym razem przestach jej miał powód rzeczywisty. W ciszy nocnej słyhać było wyraźne stukanie młotka.

— Jezus! — krzyknęła panna: — dobierają się do mojej groceni!

To rzekłszy, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna, ale spojrzawszy w nie, uspokoiła się zaraz. Przy świetle księżyca widać było drabinę, a na niej okrągłe białe kształty Hansa, odbijającego młotkiem gwoździe, podtrzymujące sztyld z małpą.

Panna Neuman otworzyła zcicha okno.

— Jednak zdejmuję małpę: to pocziwie z jego strony! — pomyślała.

I uczuła nagle, jakby jej coś topniało koło serca.

Hans wyciągnął powoli gwoździe. Blacha z brzękiem upadła na ziemię; wówczas zlął, odbił ramy, zwinął blachę w trąbkę w żyłastych rękach i począł odstawiać drabinę.

Panna śledziła go oczyma... Noc była cicha, ciepła...

— Panie Hans... — szepnęła nagle dziewczica.

— To panna nie śpi? — odszeptał równie cicho Hans.

— Nie! Dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór pannie.

— Co pan robi?

— Zdejmuję małpę.

— Dziękuję panu, panie Hans.

Chwila milczenia.

— Panie Hans! — zaszemrał znowu głos paniński.

— Co, panno Loro?

— Musimy naradzić się o rozwodzie.

— Tak, panno Loro.

— Jutro?

— Jutro.

Chwila milczenia; księżyc się śmieje, psy nie czekają.

— Panie Hans!

— Co, panno Loro?

— Bo mnieby pilno wziąć ten rozwód...

Głos panny brzmiał melancholicznie...

— I mnie, panno Loro!

Głos Hansa był smutny.

— Bo to, widzi pan, żeby nie zwłóczyć...

— Najlepiej nie zwłóczyć.

— Imby się prędzej naradzić, temby lepiej.

— Tem lepiej, panno Loro.

— To możemy się zaraz naradzić...

— Jeśli panna pozwoli...

— To pan przyjdzie do mnie...

— Tylko się ubiorę.

— Nie trzeba ceremonii.

Drzwi na dole otworzyły się, pan Hans znikł w ciemnościach, a po chwili znalazł się w panieńskim pokoiku, cichym, ciepłym, schludnym. Panna Lora miała biały szlafroczek i była zachwycająca.

— Słucham panny — rzekł Hans złamanym, miękkim głosem.

— Ale, bo to widzi pan, jabym bardzo

SACHEM

W mieście Antylopie, położonem nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Texas, śpieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tem większe, że od czasu założenia miasta, pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstreli i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nietylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tem samem miejscu, na którem stoi Antylopa, wznosiła się osada indyjska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Węzów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim, Berlinowi, Gründenu i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indianie bronili wprawdzie tylko swego «terytoryum», które rząd stanowy Texasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszymi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić koloni-

stów z Berlina, Gründenau i Harmonii? Pewnem jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, ale natomiast wnosili cywilizację; czerwonoskórzy zaś okazывali im wdzięczność na swój sposób, to jest: zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Gründenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset, i wezwawszy na pomoc Meksykańów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spalona, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziały wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalał się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która, jak zwykle na wiosnę, rozlawszy, otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale to samo widlaste położenie, które zgubiło Indyan, podobalo się Niemcom. Z widel źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Gründenau i Harmonii rozpoczęła się emigracja do widel, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony widel kopalnię żywego srebra, którego eksploatacya podwoila liczbę mieszkańców. W siódmym roku z mocy prawa Lynch powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Węzów, schwytanych w poblizkim lesie Umarłych — i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa Tagblatty i jedna Montagsrevue. Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Węzów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót, potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt «O prawach narodów».

Bogatsi mieszkańcy przebąkiwali o potrzebie założenia uniwersytetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywym srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, praco-

wici, systematyczni, otyli. Ktoby w późniejszych czasach odwiedził już kilkunastotysięczną Antylope, tenby w bogatych kupcach miejscowych nie poznał owych niemilosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach; wieczory spędzali w piwiarni «pod Złotem Słońcem» przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych, tych: *Mahlzeit! Mahlzeit!* tych flegmatycznych: *Nun ja wissen Sie Herr Müller, ist das aber möglich?* tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, możnaby mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub Monachium, nie zaś na zgłiszczach Chiavatty. Ale wszystko w mieście już było *ganz gemüthlich*, i o zgłiszczach nikt nie myślał. Tego wieczoru ludność śpieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą jak przyjemną, powtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrkì nie zjeżdżają do lada miejsciny, przybycie więc trupy hon. M. Dean'a stwierdzało poniekąd wielkość i znaczenie An-

tylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr. 2-gi programu mówił co następuje: «Spacer na drucie zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Wężów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) Spacer. 2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci. Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten «sachem» mógł obudzać najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opowiadał pod «Złotem Słońcem», że przed piętnastu laty w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego Indianina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego «sachema» Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą hon. M. Dean dopiero pod «Złotem Słońcem» dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą — i że słynny linochód będzie się popisował na grobach ojców. Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem te-

raz na pewno liczyć na *great attraction*, byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli Indyanina, pokazać ostatniego z Czarnych Węzów i powiedzieć: «Patrzcie, oto takich w pień wyrzneliśmy przed laty piętnastu». Ach, Herr-Jeh! — Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całym też mieście powtarzano bez ustanku: *Sachem, sachem!*

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionemi i przerażonemi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły, maszerowali groźnie, sami nie wiedząc dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiaździsta. Powiew z za miasta przynosi zapachy gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem słodu. W cyrku bije luna światła. Ogromne smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszcami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jest to świeżo wzniesiona szo-

pa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem i z gwiazdzistą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać, lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na której wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskórymi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrze bufetu z setkami kufli szklanych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre, i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi, i wkrótce ciemna ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdolano przeprowadzić do niego rur gazowych, natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych, oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasłe, przechylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszów, młode twarze kobiece i śliczne ździwione buzie dziecinne, których oczyomal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzy-

kami *Frisch Wasser! frisch Bier!* — wszyscy z niecierpliwością oczekują zaczęcia. Nakoniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu masztalerzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhlukany koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda *Mathilde*, córka piwowara z *Opuncia-Gasse*, zaniepokojona jej widokiem, pochyliła się do ucha młodego grocernika *Flossa* z tejże ulicy i pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się sypią. Co za przepyszne przedstawienie! Ale Nr. 1 mija prędko. Nadchodzi Nr. 2. Wyraz: *sachem! sachem!* przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród ich małych ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać *Jankee Doodle*, a gra posępną aryę Komandora

z Don-Juana, zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy sachem, ostatni z Czarnych Wężów. Ale cóż to?... Wchodzi nie sachem, jeno sam dyrektor trupy, hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić «laskawych i szanownych gentlemanów, oraz piękne i niemniej szanowne ladies o nadzwyczaj spokojne zachowanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszys niż zwykle». Słowa te sprawiają niemiłe wrażenie — i dziwna rzecz, ci sami honoratiores Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnem utęsknieniem na górne sfery cyrkowe, i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tem duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od małych lat w trupie hon. M. Dean'a, złożonej przeważnie z Niemców.

Czyżby jeszcze nie zapomnial? Wydawało się to nieprawdopodobnem. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wyrzeć swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny i nie myślą o niej więcej, niż na to *business* pozwala. Przedewszystkiem trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać zarówno każdy filister, jak i ostatni z Czarnych Węzów.

Rozmyślania te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach — i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słysząc krótki pomruk ciżby: «To on! to on!» — i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indyanin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzano. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów — oznaka wodza — pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orla, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne — złowrogie. Wodzi on niemi po zgro-

madzeniu, jakby chciał sobie upatrzeć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głowy. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w rękę tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. Herr Gott! to okrzyk Czarnych Węzów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie — i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ulagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk — namowa skutkuje, bo po chwili sachem kolysze się już na drucie. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indyanin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie, chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! — nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wichor i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku, utkwionym w lam-

py naftowe, błyszczy jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu — staje — i niespodzianie z ust jego wyrywa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiec-ku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Węzów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmacnia się i potężnieje. Jest to pół śpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żałobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słychać słowa następujące: «Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny, lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z wojny, zdobyli ich skalpy; gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć wielkiego ducha.

«Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do srebrnych gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mę-

żami. Chiavatta była potężną. Aż przyszły blade twarze z za morz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Bładzi wojownicy nie pokonali Czarnych Węzów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale, i noże ich zboczyły się w pierśiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci.

«I oto niema Chiavatty, bo na jej miejsce biali wzniesli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę».

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz kołysząc się na tym drucie wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wył dalej:

«Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci — pożogę, krew!...» Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery, podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęły się do głów. Co robi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? — on? — sam jeden? — zostać, czy uciekać? czy się

bronić? — i jak? — «Was ist das? was ist das?» — rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakolysał się silniej, wskoczył na drewniany kozieł, stojący pod żyrandolem, i wzniósł drąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: Rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to? Z areny wołają: stój! stój!... Wodza niema! zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spalił cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziajany, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę, i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem: *Was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen!*... Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora, efekt? Sypią się póldolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów — w Antylopie, na zgliszczach Chiavatty! Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle «pod Złotem Słońcem». Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

SPIS RZECZY.

| | <i>Str.</i> |
|---|-------------|
| Jamiol | 5 |
| Organista z Ponikly | 23 |
| Listy z Rzymu, Wenecyi i Paryża | 39 |
| Komedyja z pomylek | 103 |
| Sachem | 135 |
